ROK VII
Nr. 34.

KURYER
LITERACKO - NAUKOWY

Wychodzi co niedzielę pod redakcją prof. Mieczysława Dąbrowskiego.

Dodatek do Nru 221-go „ILUSTROWANEGO KURYERA CODZIENNEGO" z dnia 18-go sierpnia 1930 r.

LOTNICTWO POLSKIE PRZED DZIESIĘCIU LATY

Spadek po zaborcach. — Organizacja lotnictwa. — Etapy rozwoju lotnictwa. — Udział lotnictwa w walce z bolszewikami.

Kraków, 17 sierpnia.

W listopadzie 1918 r. dzięki inicjatywie poszczególnych oficerów lotników, większe lotniska, jak w Warszawie, Krakowie, i Lwowie, a w styczniu 1919 w *Poznaniu* dostają się w *ręce polskie*. Był to pierwszy krok do stworzenia *własnej floty powietrznej*. Ze zdobytego materjału technicznego z wielkim nakładem pracy zdołano stwarzać eskadry *lotnicze*, które niemal z pierwszym strzałem, oddanym na ziemi polskiej, były gotowe do obrony granic.

Tak było we *Lwowie*, gdy bohaterskie miasto chwyciło za broń, by stawić czoło Ukraińcom; zaraz w pierwszych dniach walk powiewały się nad miastem dwa *samoloty z barwami polskiemi*.

Wielce oryginalne zdjęcie, dokonane na lotnisku warszawskiem, a przedstawiające ciekawe zestawienie dwu środków lokomocyjnych: samolotu i dorożki konnej.

odebrany okupantom przedstawiał się w takim stanie, że tylko po usilnej pracy, mając do rozporządzenia całe zastępy wykwalifikowanych specjalistów i odpowiednie warsztaty, mógł być doprowadzony do stanu używalności na froncie. Tymczasem w kraju o zrujnowanym zupełnie przemyśle nie można było myśleć o odremontowaniu własnemi siłami zdobytego materjału.

W *Krakowie*, *Warszawie* i *Lwowie*, majątek lotniczy obejmował *200 samolotów* różnych typów i różnej mocy, *warsztaty*, *składy*, *szkołę lotniczą*, *stacje radjotelegraficzne* i t. d. Jednakże cały sprzęt mocno ucierpiał podczas akcji rozbrajania Niemców, tak, że z 200 odebranych płatowców zdolnych do natychmiastowego użycia było zaledwie 12. Po uruchomieniu warsztatów w Warszawie, cyfra ta stopniowo wzrasta.

Dążność do stworzenia silnego lotnictwa znalazła swój wyraz w *rozkazie Sztabu Generalnego* Nr. 66 z dnia 20 grudnia 1918 r., który powołuje do życia *Dowództwo Wojsk Lotniczych*, jako zwierzchnią władzę lotniczą, obejmującą *Sekcję Żeglugi Powietrznej*, *Centralne Warsztaty Lotnicze* i *Centralne Składy Lotnicze*. Następnie tworzy z już sformowanych i będących w stadjum organizacji eskadr dwie *Grupy Lotnicze* z siedzibą pierwszej w *Warszawie*, a drugiej w *Krakowie*. Określa stan eskadr pod względem liczebności płatowców i personelu oraz przeznaczenia do służby, formuje *parki ruchome i lotnicze bataljony uzupełnień*, jako jednostki przejściowe dla rekruta, wreszcie przewiduje utworzenie *szkół lotniczych pilotów i obserwatorów*, oraz *szkoły mechaników*.

Puszczanie w ruch śmigi samolotu.

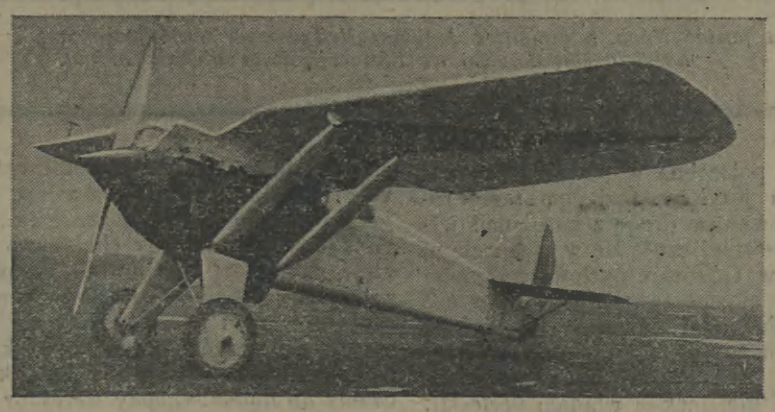

Najnowszy samolot myśliwski, zbudowany w Polskich Zakładach Lotniczych w Warszawie, według planów konstruktora Pulaskiego.

Napełnianie zbiorników samolotu benzyną.

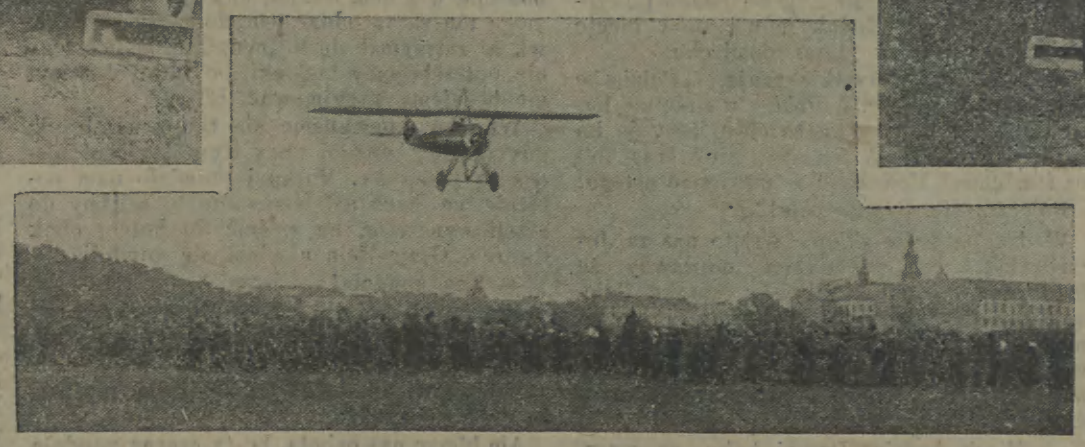

Samolot wytwórni „Potez" unoszący się ponad Błoniami w Krakowie, na tle panoramy miasta.

Zanim w *Warszawie* zdołano zlikwidować akcję rozbrojenia okupantów — w dzień powrotu Józefa Piłsudskiego z twierdzy magdeburskiej — na *lotnisku Mokotowskiem* wylądował *polski płatowiec*, przybyły z *Krakowa* z raportem do Komendanta.

Gdy nasze *Kresy Zachodnie* walczyły o prawo przynależności do Rzeczypospolitej, polskie lotnictwo w ilości *3 eskadr* niosło bohaterskim Ślązakom pomoc i otuchę, stanowiąc niejako nić, łączącą Cieszyn z Krakowem.

Gdy w *Poznaniu* ludność uwolniła miasto od zaborców, a po walce organizacje wojskowe zdobyły *port lotniczy*, *Ławicę* z kompletnemi urządzeniami i magazynami — płatowce z wstęgami o barwach narodowych startują z lotniska, roznosząc na swych skrzydłach wieść o Wolności.

A po paru miesiącach intensywnej pracy w lotnictwie, gdy Naczelny Wódz z garstką wojska maszeruje na *Wilno*, *4 eskadry lotnicze*, utworzone naprędce zwiastowały polskiej ludności *Kresów Wschodnich* zwycięski pochód naszej armji. Materjał lotniczy

Była to pierwsza próba organizacji lotnictwa. Nie przetrwała długo, jednakże posłużyła jako punkt wyjścia dla przyszłych form organizacyjnych.

Rozkaz ten zakreślał dość szeroki program. Tworzył armję powietrzną, a w swych przewidywaniach rozszerzał ją do ilości potrzebnej dla obsługi całego wojska polskiego. Organizacja przewidywała dwa równoległe do siebie kierownictwa wojsk lotniczych. Jedno — to Sztab Generalny z Dowództwem Wojsk Lotniczych, którego zakres działania obejmowałby sprawy taktyczne i wyszkoleniowe. Drugie — to Sekcja Żeglugi Powietrznej, obejmująca wyłącznie zaopatrzenie techniczne.

Stanowiska kierownicze Dowództwo Wojsk Lotniczych starało się obsadzać napływającemi z obcych wojsk *fachowymi oficerami-lotnikami*, których zgłosiła się do wojska polskiego stosunkowo *znaczna ilość*, z których większość posiadała *wyższe wykształcenie techniczne*. Ogółem korpus oficerski i podoficerski, t. zw. „personal latający" liczył *186 lotników*.

To też w *pół roku* po przystąpieniu do realizacji sprawy lotniczej, lotnictwo może rozporządzać już:

1) *Dwoma hataljonami* uzupełnień lotniczych; 2) *trzema szkołami* pilotów *w Krakowie i Warszawie;* 3) jedną *szkołą obserwatorów* i jedną *mechaników w Warszawie;* 4) *czterema grupami lotniczemi*, składającemi się ogółem z *10 eskadr;* 5) *trzema* ruchomemi *parkami lotniczemi*.

A oprócz tego były już stworzone *warsztaty lotnicze*, *stacje meteorologiczne*, sekcje *aerofotograficzne*.

To był stan lotnictwa w maju 1919 r.

A *po roku* niemal, w przeddzień *bitwy warszawskiej*, Naczelne Dowództwo mogło rozporządzać 18 eskadrami lotniczemi.

Oprócz tych posiadaliśmy wewnątrz kraju jednostki, pozostające w stadjum organizacji, *eskadry szkolne*.

W miarę krystalizowania się państwa polskiego, możliwości materjalne lotnictwa wzrastają. Różnica w poczynaniach lotniczych w okresach: listopad 1918 — maj 1919 — marzec 1920, wreszcie marzec 1920 — październik 1920 — daje dokładny obraz kolosalnej twórczej pracy w dziedzinie rozwoju *lotnictwa wojskowego*.

I gdy nadszedł dzień, gdy wróg stanął niemal u bram stolicy, lotnictwo polskie, mimo półtorarocznej walki na wszystkich szla-

kach polskich, jest już na takim poziomie, że w *działalności bojowej* uwidocznia się odrazu *większa energja*, większa *intensywność pracy* w powietrzu, większa *ruchliwość*.

W czasie *akcji warszawskiej w 1920 r.* nie wszystko jednak należycie funkcjonowało. W stosunku do potrzeb mieliśmy zbyt *mało materjału technicznego*, by można było rozwinąć działalność lotniczą na wzór wojny światowej. Brak sprzętu technicznego wynagradzał jednak *zapał personelu latającego, jego ofiarność* a nadewszystko duże *doświadczenie*, uzyskane w półtorarocznej wojnie i znajomość bolszewickich metod walki.

Z Chwilą *przełamania frontu bolszewickiego* i rozpoczęcia ogólnej ofenzywy stan eskadr jeszcze więcej się *poprawił*. Naczelne Dowództwo mogło rozporządzać na całym froncie polsko-rosyjskim *20-ma eskadrami* oraz *4-ma parkami ruchowemi*.

Kulminacyjny punkt rozwoju lotnictwa w czasie wojny polskiej przypada na okres *końcowych operacyj*. W *bitwie niemeńskiej* lotnictwo może już być użyte niemal *na wzór wojny światowej*. Oddaje też wielkie usługi jako środek walki i środek *łączności*.

Jak lotnictwo działało *na froncie?* W *pierwszym roku wojny* rola naszych eskadr lotniczych była mocno *ograniczona* z powodu braku odpowiedniego sprzętu.

Załogi płatowcowe musiały posiadać wiele *hartu*, by wykonywać zadania bojowe, nakazane przez dowództwa.

Więc też latano na *wywiady, bombardowano* większe skupienia wojsk bolszewickich, *ostrzeliwano z karabinów maszynowych* szeregi nieprzyjacielskie ze starych maszyn niezliczoną ilość razy remontowanych, bez map i busol, bez odzieży lotniczej.

Pod *Kijowem* eskadry kilkakrotnie atakują przeprawę wojsk sowieckich przez Dniepr. Lotnicy biorą udział w *zagonie kawaleryjskim* na *Kosiatyn*. Pierwsi donoszą o przegrupowywaniu nieprzyjaciela w związku z późniejszym jego przeciwnatarciem. Po raz pierwszy spotykają się z *armją konną Budiennego* i od tej chwili niemal aż pod mury *Lwowa*, nie wypuszczają budiennowców z pod swej obserwacji.

Do pięknych kart działalności lotniczej należy dodać jeszcze *rozbicie pociągu pancernego pod Wapniarką* oraz *współdziałanie z 13 dyw. piech.*

W czasie *odwrotu* lotnictwo przechodziło ostry *kryzys materjałowy*. W licznych i co raz bardziej intensywnych walkach, materjał techniczny został zużyty do ostatnich granic. *Uzupełnień* spodziewać się *nie* było można, a ciągłe remontowanie maszyn nie zapełniało powstających luk. Są w tym czasie eskadry, które istnieją tylko *na papierze*, nie posiadają ani jednego samolotu.

Poprawa następuje w *lipcu 1920 r.*, kiedy w związku z planem *bitwy warszawskiej* następuje zatrzymanie linji frontu i przygotowywanie się do ogólnego przeciwdziałania.

W bitwie warszawskiej bezpośredni udział wzięło *10 eskadr lotniczych* zgrupowanych częściowo w *Warszawie, Garwolinie* i *Dęblinie*.

Zadania lotników polegały przeważnie na *wywiadach, bombardowaniu* najważniejszych objektów nieprzyjacielskich oraz *współdziałaniu* z wojskami lądowemi przy pomocy *karabinów maszynowych*. W dniach *16, 17 i 18 sierpnia* zarówno Wódz Naczelny jak i poszczególni dowódcy armji opierali operacyjne rozkazy przeważnie na *meldunkach lotniczych*.

Po przełamaniu frontu i rozpoczęciu przeciwnatarcia eskadry posuwają się razem z oddziałami lądowemi. Biorą udział w wielkiej *bitwie niemeńskiej* w pościgu cofających się wojsk bolszewickich.

Od owej chwili upłynęło *10 lat*. Gdy z odległości tego czasu spojrzymy w przeszłość, ówczesna praca nad rozbudową rodzimego lotnictwa nabiera jeszcze większego znaczenia. Z nielicznego sprzętu oddziedziczonego po okupantach z lotników wyszkolonych w armjach zaborczych powstawały eskadry i dywizjony, ruszały na front do walki, by zająć odpowiednie miejsce w historji wojskowości polskiej.

Okruchy.

Współczesna literatura islandzka.

Kraków, 17 sierpnia.

Bohaterska tradycja *Islandji*, zamknięta w pełnych czaru prastarych sagach oraz w pieśniach skaldów i poezjach *Eddy*, wyryła niezatarte piętno na piśmiennictwie tej samotnej wyspy na północnym, Atlantyku, skoro wpływ jej widoczny jest również w najnowszej literaturze, szczególnie zaś w *liryce*.

Poezja liryczna, która już przedtem rozwinęła się najbujniej ze wszystkich gatunków literackich, zajmuje nadal pierwsze miejsce w piśmiennictwie współczesnej Islandji. Już poeci romantyczni *Bjarni Thorarensen* i *Jonas Hallgrimsson*, działający w pierwszej połowie XIX w., głosili głębokie umiłowanie człowieka i ziemi rodzinnej, nawoływali do wierności tradycji i do stworzenia przyszłości, któraby była godna czasów minionych. Te hasła romantyków przejęły następne pokolenia poetów lirycznych. Do nich należeli przedewszystkiem *Steingrimmur Thorsteinsson* (1831-1913) i *Matthias Jochumsson* (1835-1920). Ani jeden z dawniejszych poetów islandzkich nie potrafił tak pięknie opiewać przyrody ojczystej, jej lodowców, gejzerów i jezior górskich, jak *Thorsteinsson*. Bohaterskie czyny wikingów, widziane w pełnych uroku barwach sag, natchnęły go również do szeregu poezyj lirycznych. Jochumsson, uważany za jednego z największych pisarzy islandzkich, ogłosił wiele utworów z zakresu *liryki, epiki* i *dramatu*. Zasłynął też jako *tłumacz* autorów *skandynawskich, angielskich* (Szekspir, Byron) i *niemieckich*. Edda i pieśni skaldów odegrały również niemałą rolę w jego twórczości. Największym z żyjących liryków jest *Einar Benediktsson* (ur. 1864 r.), autor czterech tomów poezyj i tłumacz *„Per Gynta" Ibsena*. Z głośniejszych poetów należy wymienić jeszcze *H. Hafsteina, St. Stephanssona, J. Thorarensena, Th. Gislasona* i *D. Stefanssona*.

Twórczość dramatyczna rozwinęła się w Islandji przy końcu XVIII w., ale o oryginalnym dramacie można mówić dopiero w drugiej połowie XIX w. Mianowicie w r. 1864 ukazał się pierwszy oryginalny utwór sceniczny p. t. *„Wygnańcy"*, osnuty na tle sag ludowych. Autorem jego jest wspomniany już *M. Jochumsson*. Wybitnym talentem dramatycznym okazał się *Indridi Einarsson*, którego najlepszym utworem jest baśń udramatyzowana „Noc noworoczna", wyd. w r. 1907.

Właściwy rozwój *prozy islandzkiej* (nowela, powieść) rozpoczyna się w połowie XIX w. Najpierw ukazują się krótsze lub dłuższe opowiadania, niewychodzące poza ramy dzisiejszej noweli. Pierwszym nowelistą jest *Jan Thoroddsen*, czerpiący wzory przeważnie *z życia wiejskiego*. Znacznie większym *talentem okazał się Jan Stefansson* (piszący pod pseudonimem *Thorgils gjallandi*), autor licznych opowiadań *z życia ludu*. Największym talentem na polu prozy jest bezsprzecznie żyjący dotąd *Einar Hjörleifsson Kvaran* (ur. w r. 1859). Jego powieści społeczne, np. *„Przemoc"* i *„Złoto"*, których akcja rozgrywa się w Reykjaviku, posiadają pierwszorzędną wartość. Dorobek literacki Kvarana wynosi przeszło dwadzieścia tomów, zajmujących naczelne miejsce w dziejach powieści i noweli islandzkiej. Obok Kvarana musimy

Poeta, po którym został tylko czterowiersz.

Kraków, 17 sierpnia.

Literatura włoska notuje nazwisko poety, którego poezje *zaginęły*, a pozostał po nim tylko *czterowiersz*. Poetą tym jest *Giovanni Strozzi*. Czterowiersz ów napisał Strozzi przed posągiem *Nocy*, dłuta *Michała Anioła*, znajdującym się w zakrystji kościoła *san Lorenzo* we *Florencji*. Na czterowiersz odpowiedział Michał Anioł również czterowierszem.

Oto wiersz Strozziego i odpowiedź Michała Anioła (przekład polski *Jana Pietrzyckiego*):

Tę Noc, co marmur ją zaklął w kształt biały,
Skrzydła natchnienia w sen ukołysały.
Przechodniu! Szeptem niech będą twe słowa,
Bo Noc zbudzona przemówić gotowa.

— Kiedy ojczyzna drży w walki pochrzęście
I wszystko wokół okrywa się cieniem,
Sen marmurowy, to moje jest szczęście...
A więc mnie nie budź, niech będę kamieniem!

Alegoryczna postać Nocy, z grobowca Juljusza Medyceusza, znajdującego się w kaplicy kościoła san Lorenzo we Florencji, dłuta Michała Anioła.

TADEUSZ KUDLIŃSKI.

Cudze chwalicie, cudzego nie znacie.

Ażeby odbyć dłuższą podróż zagranicę, należy znaleźć sobie przyjaciela (łkę). Idzie o to, by móc z jakąś bratnią duszą podzielić się wrażeniami, czuć tę wspólnotę duchową, która potęguje przyjemności. Przyjaciel mój, z którym odbywałem podróż, był typem stworzonym na towarzysza. Żyliśmy pogodni jak bracia i dwa były tylko dni w czasie tych tygodni, w których się nie pokłóciliśmy. Zresztą trwaliśmy w idealnej harmonji. Podaję tu dla ilustracji djalogi, jakie toczyliśmy przy zwiedzaniu pewnego portu:

(Idziemy na przełaj, na krótsze drogi).

Ja: — Chodźmy brzegiem.

On: — Dlaczego brzegiem?

Ja: — Bo tak prędzej zajdziemy do portu, pało!

On: — Gdzie ty widzisz brzeg — tumanie! — Tu nigdzie *niema brzegu*.

A jeśli *pójdziemy brzegiem*, to nie zajdziemy w każdym razie do portu.

Ja (rozkładam przesłanki tego wniosku i dochodzę do rezultatu, że przyjaciel mój jest jednak półmężczyzną, bo myśli typowo jak kobieta. Tymczasem on z pewną miną ciągnie dalej):

On: — Tędy nie możemy iść, idjoto. Musimy obejść od ulicy portowej — do głównego wejścia. Tam *wszystkich* puszczają, ale *nas nie puszczą*, bo do portu nie wolno chodzić.

Jeśli wykazałem powyżej pewne braki istotne w rozumowaniu mego przyjaciela, to muszę jednak przytem przyznać, że zawsze był solidarny. Chorowaliśmy razem, piliśmy razem, spaliśmy razem. Raz tylko ja zgubiłem pieniądze, a on nie. Poza tem wszystko szło na wspólny rachunek. Tyle, że przy kąpieli on sobie zrobił dziurę w kolanie, a ja w pięcie.

Druga rzecz potrzebna w podróży, to znajomość obcych języków. Świadom tego, ruszyłem dość pewnie w drogę z memi umiejętnościami. Najpewniej czuję się w niemieckim, więc też już w Gdańsku pytlowałem moim „wiedeńskim" akcentem. Kupowaliśmy coś w drogerji nieopodal dworca. Właściciel dziwnym trafem poznał mimo mą niemczyznę, żeśmy Polacy (widać po rysach słowiańskich — gdyż niemieckim władam perfect!). Okazało się, że to Polak, podobno nawet szlachcic — pan Buliński, którego rodzina przed 280 laty wyemigrowała z Polski do Berlina, by przez Hamburg po latach powrócić do Gdańska. Rodak mówił znów biegle po polsku, tak jak ja po niemiecku.

— Mnie tu wszystkie znają. „Polnische Drogerie am Banof". A Polacy u mnie nie kupują, nie? Jak przyjdą, to chcą, żeby ja im taniej sprzedał, niż Niemiec, nie? Was soll man machen? Można iść w powietrze z tego!

Polecam się, Szanowanje!

W drugim znów sklepie wzięto nas za Jugosłowian. Nie wiedziałem doprawdy, że mam taką wybitnie słowiańską czaszkę. Ucieszeni tem powodzeniem, mówiliśmy już potem po polsku. Kelner w Antwerpji proponował nam potrawy w jakichś nierozumiałych dla nas zwrotach. Wobec tego przyjaciel mój machnął ręką i powiedział:

— Niech będzie. Dawaj byku, co masz, nie miel tyle ozorem.

Inna sprawa, że kelner uważał te słowa za rezygnację z jego usług i nic nam nie przyniósł, ale gdy powtórzyliśmy poprzednie zdanie innym akcentem, popierając to żywą gestykulacją — dostaliśmy przyzwoity i zupełnie drogi obiad.

W Anglji ja byłem tłomaczem. Ale nie wszystko mogłem tłomaczyć, co moi towarzysze mówili. Trudno powiedzieć dorosłemu Anglikowi, który napewno umie się boksować, że matka jego była podejrzaną osobą, a on ma minę tumana. Lub, że towarzysz mój ma go w nosie lub gdzieindziej. W Algierze ja znów nic nie mówiłem, tylko mój przyjaciel. Potrafił on pół godziny rozmawiać z policjantem, kierującym ruchem w najruchliwszej części miasta tak, że powstał zator, karambole i t. d. W Italji mówiłem znowuż ja, jako że obaj z moim towarzyszem, po włosku nie mówimy. Raz, gdy chcieliśmy koniecznie zjeść ogórka w restauracji, rysowaliśmy ku zgorszeniu sąsiadów kształt tego warzywa na obrusie — no i „dogadaliśmy się". Więc co? Warto się uczyć? Wkońcu, po krótkim pobycie w Italji udawaliśmy Anglików. Zajeżdżamy do hotelu. Opasły dyrektor kłania się, ukazując rozdziałek wśród tłustych włosów. Pyta, czy życzymy sobie pokoju z łazienką. Przyjaciel kopie mnie nieznacznie, niemniej boleśnie w goleń. Sykam cicho z bólu, że nie mogę mu zaraz oddać. On tłomaczy grubasowi, że zatrzymał się tu incognito, wobec tego nie potrzebujemy łazienki, bo żadnych wizyt nie będziemy przyjmować. (?)

Wkońcu nauczyliśmy się targować. I tak, gdy pewnej pięknej nocy wypiliśmy coś niecoś na placu św. Marka i szumiało nam potężnie we łbach *asti spumante* — szliśmy do stacji *vaporetta*, by wrócić do hotelu obok dworca. Oczywiście nawinął się gondoljer.

— Una gondola! — woła.

Przyjaciel mój miał złość do gondoljerów, gdyż nabili nas porządnie przy pierwszych rachunkach.

Mruczy więc: — Krzycz złodzieju, myślisz, że pojadę, bandyto!

Ale bierze nas ochota, by tą czarną gondolą pojechać w rozbłyszczany od świateł kanał, bo niosą się jakieś pieśni i brzęki gitar po wodzie, która chlupoce i syci chłodem. A gondoljer woła swoje:

— Una gondola, Signore!

— Odwal, pomidorze włoski — mruczymy, niezdecydowani jeszcze, a „pomidor" już szykuje poduszki i przyładza wszystko. Więc ponuro pytamy:

— Ile chcesz kataryniarzu? Stazione, ferrovia, quanto costa, wenecki rzezimieszku?

— Dodici.

— Ale chciałbyś? Niente, makaronie.

Odchodzimy na „niby". Włoch drze się jak opętany. Spuszcza z tych 12 lirów, przysięgając przy każdej cenie, że się gubi: bancarotta signore, dieci! bancarotta, otto niente? Przyjaciel wreszcie stęka: Dam mu sześć i niech go zatłucze. Będę się może targował? — Pokazuje więc na palcach „sześć", no i pojechaliśmy za sześć.

Od tego czasu, na przestrzeni Wenecja—Neapol, płaciliśmy za wszystko połowę ceny, z zasady. Okrutnie złodziejski naród te Włochy i żebraczy. Powiadają ludzie, którzy dawniej tam bywali, że było stokroć gorzej. Nie umiem sobie tego „gorzej" wyobrazić. W porównaniu z Neapolitańczykiem jest nasz góral zakopiański niedojdą. Nie było prawie rachunku, żeby nie starano się nabić nas, niejednokrotnie zupełnie naiwnie i bez skutku. Szofer, przewodnik, kelner, hotelarz, przekupka, dorożkarz, kupiec, gondoljer — wszyscy. A przytem wstrętny nałóg żebractwa głęboko wkorzeniony. W muzeach napisy głoszą, że nie wolno nikomu dawać napiwków, a gość przyłapany na tem, będzie wydalony bez pardonu. Jednak każdy z wożnych tak natarczywie żebrze, patrzy po rękach, za byle głupstwo — że wstręt poprostu bierze. To samo na ulicach, przed dworcem, wszędzie. Zatruwa to życie na każdym kroku, denerwuje. Natomiast osławiony brud włoski, znika. Poza pewnemi zakazanemi dziurami — właściwie czysto jest i schludnie. Koleje nie pozostawiają nic do życzenia. Natomiast brud ten (a także żebractwo na ulicy) widzieliśmy w Anglji (tak, tak), widzieliśmy brud i potworny nieporządek w Antwerpji, tak na wystawie, jak i w mieście.

Doszliśmy zupełnie poważnie do przekonania, że my, Polacy, należymy do czyściejszych narodów, no i kultura u nas napewno niegorsza, niż w wielu krajach. Dobrze byłoby, by rząd dla tych stale niezadowolonych i wyrzekających obywateli (bo to panie, na zachodzie, fi, fi!) ufundował stypendja na wyjazd za granicę. Niechby ujrzeli. Wróciliby z rzadką miną i zamknęliby wreszcie swoje niewyparzone gęby.

Za to złodziejstwo obdarzył jeszcze Pan Bóg Włochów cudownym klimatem. Siedzi taki nygus cały dzień nad morzem. Kąpie się i leży na słońcu. Drze się i wyśpiewuje wszystkie arje z oper, zbiera ślimaki i muszle. Potem gwoździem otwiera muszle i wcina to

wymienić przedewszystkiem *G. Fridjonssona* i *G. Magnussona* (pseudonimem *Jan Trausti*), których opowiadania i powieści są najlepszem odzwierciedleniem *życia wieśniaków* z głębi Islandji. Najmłodsze pokolenie literackie reprezentuje godnie *Halldor Kiljan Laxness*.

Istnieje również grupa autorów islandzkich, piszących po *duńsku*. Największym rozgłosem z pośród nich cieszą się: *Gunnar Gunnarsson*, powieściopisarz i *Gudmundur Kamban*, autor kilku dramatów oraz przełożonej na kilka języków powieści „*Ragnar Finsson*“. Duży talent dramatyczny zapowiadał *J. Sigurjonsson* (1880—1919), lecz przedwczesna śmierć nie pozwoliła mu się należycie rozwinąć.

Jeśli idzie o związek literatury islandzkiej z zagraniczną, to jest on zupełnie nikły. Można mówić jedynie o wpływie *Ibsena* i *Hamsuna*, tak dalece tkwi to piśmiennictwo swemi korzeniami w glebie ojczystej. Z tego też powodu kultura duchowa Islandji jest zagranicą bardzo mało znana.

Dr. Stanisław Pazurkiewicz.

Dr JÓZEF FLACH.

W setną rocznicę urodzin Franciszka Józefa Habsburga.

Dwa typy Habsburgów. — Franciszek Józef jako człowiek i monarcha. Polityka oportunistyczna Habsburgów. — Franciszek Józef a my.

Kraków, 17 sierpnia.

Sto lat temu, *18 sierpnia 1830 r.* urodził się *Franciszek Józef Habsburg*, późniejszy *cesarz austrjacki, król węgierski*. Powszechny to jest już obyczaj, że wspomina się setne rocznice urodzin lub śmierci ludzi, których nazwiska historja zapisała.

Jest to sposobność wyrażenia spokojnego sądu o człowieku, który w bieżącym życiu fizycznie i duchowo jest już *nieobecny*.

Z tego przedmiotowego punktu widzenia nie wypada i w *polskiem* piśmie pominąć setnej rocznicy urodzin Franciszka Józefa I. Z ignorowanie jej, zwłaszcza w piśmie, wychodzącem pod dawnym zaborem austrjackim, mogłoby być tłumaczone jako *niezdolność* do takiego sądu o monarsze, który lat *sześćdziesiąt ośm* rządził państwem, w obrębie swojem obejmującem i znaczną część Polski, sądu, równie zdala trzymającego się od *obłudnych uwielbień*, jakiemi darzono go przed wojną, jak i *szyderczych naigrawań*, któremi go obrzucano podczas wojny i po niej.

Cesarz austrjacki Franciszek Józef I. w 18 r. życia swego.

Cesarz austrjacki Franciszek Józef I. w podeszłym wieku.

Franciszek Józef był *Habsburgiem*. To pierwsze stwierdzenie objektywnego faktu, już zawiera w sobie ogromną część charakterystyki zmarłego w r. 1916 starca. Habsburgowie byli dynastją *katolicką*, jedną z niewielu już, które schyłek wieku XIX oglądał. Stąd przy ich przywiązaniu do *wiary przodków* z jednej, a *dumie rodowej* i narodowemu poczuciu z drugiej strony, sfera, z której brali sobie żony, była bardzo *ciasna*, ograniczała się niemal wyłącznie do dynastji *bawarskiej* i *saskiej* (dopiero *Rudolf, Franciszek Ferdynand* i *Karol* wyszli poza jej obręb). Pierwsza dawała im domieszkę krwi, wyrafinowaniem *kultury zepsutej*, druga miała przymieszkę *awanturniczości*. Stąd Habsburgowie podpadali pod dwa zasadnicze typy: pierwszy, *intellektualnie ograniczony*, od przeciętności w dół — drugi na *wysokim* ale niejako *chwiejącym się poziomie*.

Franciszek Józef należał do typu *pierwszego*. Był człowiekiem typowo *przeciętnym*, o horyzoncie, któryby na przeciętnem stanowisku dał człowiekowi ciche i spokojne życie, zasłużoną opinję porządnego człowieka, dla panującego jednak i dla państwa był stanowczo *niewystarczający*. To aż dziwne, jak ten monarcha tyle dziesiątek lat panujący, *nigdy* dosłownie *nigdy nie podjął inicjatywy w czemkolwiek*, nigdy nie objawił *żadnej myśli*, wybiegającej poza krąg dzisiejszych, codziennych spraw. Temi natomiast zajmował się przez całe życie z niesłychaną *pracowitością* i *skrupulatnością*, ale też w nich całkowicie się pogrążył.

Odziedziczył po przodkach państwo, *pozornie potężne*, w rzeczywistości jednak będące nie anachronizmem wprawdzie jeszcze wówczas, ale z góry skazane na to, by *istnieć tylko do czasu*, którego kres raptownie się zbliżał. Na wiele lat przed wojną światową, pierwszy *Hermann Bahr*, wybitny *powieściopisarz* i *autor dramatyczny*, miał odwagę publicznie, bo w jednej ze swoich książek, wypowiedzieć przekonanie, że *wszyskie ludy Austrji mieszkają w tym cudzym domu tak długo, dopóki los nie pozwoli im zbudować sobie własnego mieszkania*. Cesarz sam, przy swojej niezdolności organiania myślą szerszych horyzontów i zgłębiania trudniejszych problemów, z tego fatum, nad jego państwem ciążącego, *nie zdawał sobie sprawy*. Instynktowo raczej tym separatystycznym tendencjom przeciwdziałał, oparłszy spoistość państwa o *patrjarchalny stosunek osoby monarchy do „jego“ ludów*, co — trzeba przyznać — przynosiło pozytywne rezultaty. Ale i tutaj nie ujmował całości problemu, tylko *rozdrabniał* go niejako. Ile to pieniędzy szło z jego *„prywatnej szkatuły“* na *zapomogi dla gmin*, dla *jednostek* nawet na całym obszarze państwa. Czyż jednak te *drobne akty dobroci i opieki* mogły powstrzymać naturalny proces dążenia „jego“ ludów do zbudowania sobie *własnego domu*?

Owa „patrjarchalność“ zresztą, niepozbawiona etycznie pewnych stron dodatnich, politycznie w wieku XIX była już dawno *przeżytkiem*. Z przekonania — słusznego — że jedynym łącznikiem pomiędzy ludami Austrji była tylko *osoba monarchy*, wypływało *pojęcie państwa* jako jakiejś *domeny Habsburgów*. Jeżeli n. p. *Hohenzollernowie* bądź co bądź byli niemal zawsze *sługami państwa*, to typowi *Habsburgowie, a* więc i Franciszek Józef państwo uważali za swój *rodowy majątek*. Tem pojęciem kierowali się także i niemal wszyscy doradcy cesarza: wszak nawe tak radykalną zmianę, jak *powszechne prawo głosowania* przeprowadzono tylko dlatego, że spodziewano się tą drogą pozbyć *„wszechniemców“*, któ-

---

na surowo z wielkim smakiem. Obiad gotów. Prześpi się byle gdzie, bo ciepło. Przykradnie czasem coś. A te parę centów na wino wyżebrze. I może nie pracować.

O winie, to wolę właściwie nie wspominać, bo tęsknota wielka przechodzi jak burze przezemnie. Ile razy spotkam się teraz z moim przyjacielem, zaczynamy zwykle rozmowę: Pamiętasz to *„frascati“* wtedy — tam a tam. Nie możemy sobie nigdy darować, że tak mało wina wypiliśmy, choć Bóg świadkiem, nie można było więcej. Wino to, okupuje wszystkie zawody i braki.

Podróżującego po Italji, uderza olbrzymia ilość *ludzi umundurowanych*. Karabinierzy w stosownych kapeluszach, frakach i spodniach z lampasami, *celnicy* w alpejskich kapelusikach, *guarda di finanza, policjanci* miejscy (w Rzymie biało ubrani od stóp do głów w tropicznych hełmach i białych rękawiczkach), *faszyści* w czarnych rękawiczkach i koszulach, jacyś zmęczeni i smutni, wreszcie *wojska* moc, najróżniej odzianego. Doprawdy my pod względem zbrojeń i ilości żołnierza stoimy daleko za Italją, daleko za Francją. A Włosi mają zamiłowanie do pięknych, kolorowych strojów. Jeżeli mundur — to już kolorowy, tradycyjnie pasy z białej skóry, kapelusze, pióra, akselbanty. Chodzi taki i mówi, patrzcie, jakim ładny. A *szwajcarzy papiescy, a bersalierzy, a kawalerja* w futrzanych czapkach. Jest w tem coś z bujności.

Najciekawsze do zwiedzenia jest *małe miasteczko włoskie*. *W Neapolu, Rzymie* nie widać charakteru narodowego. To miasta *kosmopolityczne*, wszędzie mówią po *niemiecku*, rzadziej po *angielsku*, jeszcze rzadziej po *francusku*. W małej włoskiej dziurze czuje się dopiero sedno rzeczy. Zaułki swoiste, kręte i wąskie wąwozy, połączone sznurkami z bielizną, maleńkie balkoniki z całemi zielonemi ogrodami, od czasu do czasu jakiś szlachetny kształt architektoniczny, kościół czy ratusz, czy jakaś twierdza, której budowniczym okazuje się *Michał Anioł*. *Trattorje* chłodne, przygodne *koncerty na ulicach*, co krok obraz *narodowcy z lampką*, miłe placyki z parasolami kawiarń, owoce, ryby i jarzyny, wszystko to utopione w słońcu. Wieczorem celebruje się pompatycznie *korso*, a jak przyjdzie jakaś *uroczystość*, zwłaszcza *kościelna*, nie obejdzie się bez *muzyki, iluminacji* i specyficznego nastroju za zabawy.

Rzym robi właściwie potworne wrażenie. Cztery warstwy kultur: antycznej, średniowiecznej, renesansowej i współczesnej — widać przerośnięte na każdym kroku. *Ruiny antyczne* są tak tragicznie zniszczone, tak wandalicznie okaleczone, że jedynie rozmiar

Piec chlebowy z młynami do mielenia mąki w Pompeji.

ich (*Colosseum, Palatyn, pałace* cesarskie) daje świadectwo wielkiej przeszłości. Kultura *średniowieczna*, a i późniejsza, sterczą wszędzie, jak złodzieje nad temi szlachetnemi ruinami. Jak rzezimieszki nad trupem. Kradły, bo — na potęgę. Kultura *współczesna*, jeśli znajdzie się w sąsiedztwie antyku, razi — jak np. gigantyczny, niesmaczny *pomnik Wiktora Emanuela* ze złoconemi figurami i prostackiem bogactwem.

Dwa są *muzea*, które imponują, to *Watykan i Muzeum Narodowe w Neapolu*. Można dostać od tego wprawdzie kołowacizny i odcisków, od tej masy, można rzec nieskończoności skarbów. Chodzi człowiek po godzinie zatumaniony zupełnie i przybity. Jednak czasem rzeźba czy obraz przykuje cię, znajdziesz coś, co dla ciebie tam postawiono, czy powieszono i to ci okupi cały trud. Kopnęło mnie tak, gdy ujrzałem prymitywy włoskie *Bakchusa, Velasqueza, mozaikę pompejską z bitwą Aleksandra W. Dyskobola*, kopnęło mnie potężnie, gdym ujrzał *„Jana III pod Wiedniem“ w Watykanie* i grupę Anglików z rozdziawionemi gębami. (Jest tam też wystawiony dar rządu polskiego: *pięknie oprawny foljant*). Poza tem muzea te chybiają właściwie celu. Jeżeli w jednej sali widzi się 20 posągów pierwszorzędnych dłut greckich, a sal tych jest dużo plus trochę, to trudno do czegoś przylgnąć. Jest to zbyt wielkie zmasowanie. Trzeba czekać aż coś kopnie. Wolałem iść do *Katakumb*, wreszcie na lody lub choćby na wino. Dla chrześcijan niezapomnianem wrażeniem będzie *kościół św. Piotra*. Widzi się majestat i potęgę katolickiego Kościoła. Wrażenie olbrzymie.

W *Neapolu* poza *Wezuwjuszem, Pompejami*, wspomnianem muzeum, *Castello del Ovo*, zamkiem *św. Elma, akwarjum* (nienajlepszem), jest jedna rzecz godna poznania: *Czyściciele butów w galerji Umberta*. Mówię poważnie: warto jechać do Neapolu, żeby dać sobie raz buty porządnie oczyścić. Są to *artyści*. Z zadeptanych podróżnych butów, zrobili mi lakiery, lśniące jak brylanty. Tak nam jednak w końcu dokuczyło złodziejstwo i nahalność w tym Neapolu, żeśmy z prawdziwem uczuciem powtarzali znane przysłowie: zobaczyć Neapol (raz, nie więcej) i potem umrzeć. Niech Bóg broni — powrócić! *Wenecja*, t. j. *plac św. Marka, pałac dożów i kanał* — to jest marzenie, którego opisać się nie da. Niema chyba nic piękniejszego na świecie. Pompeja robi swoje — powiedziałbym przez swą literackość. Dowiadujesz się, że jesteś w domu tragicznego poety, czy wielkiego aktora. Czy to nie piękne? Z większym sentymentem patrzy się na te dosyć dobrze zachowane ruiny, na przepiękne mozaiki i najpiękniejsze malowidła ścienne.

Tak więc wkońcu, nasyciwszy się do przesytu tą antykwarnią włoską, umęczeni łażeniem po starych placach i muzeach, wracaliśmy szlakiem *Tagliamento przez Austrję*. Z rozrzewnieniem napiliśmy się na pierwszej stacji dobrego *piwa* i zjedliśmy *parówki z chrzanem*. Doświadczenie to powtarzaliśmy mniej więcej na każdej stacji aż do *Wiednia*. Potem już nie — bo była noc. Rankiem zbudziliśmy się u braci — *Czechów*. Przywitali nas swojem *„maucta“*, niezłą kawą i słodkiemi kołaczami czeskiemi ze serem. Potem toczyliśmy się, aż wpadliśmy w *Zebrzydowicach* w objęcia rodaka — celnika. Chciałem mu opowiedzieć swoje wrażenia i refleksje, jak to u nas, w Polsce, dobrze i lepiej, niż gdzieindziej, ale nic nie pomogło, kazał nam otworzyć walizki i grzebał poczciwiec w brudach i starych butach. Nie pomogło, że opowiadaliśmy, jako wracamy z podróży dokoła Europy, że przebyliśmy 10.000 km. Nie pozwolił nam przewieźć 2-ch flaszek *asti* i musieliśmy je wypić tak, że w stanie lekko zamglonym wróciliśmy na rodziny łono.

Znane nasze przysłowie „cudze“ chwalicie, zmieniłbym tak: „cudze chwalicie, *cudzego* nie znacie i t. d. Jedźcie kochani rodacy w obce kraje. Zrobi się wam lżej na sercu, no i *buty oczyścić w Neapolu*.

rzy dla monarchji nie byli wprawdzie niebezpieczni z powodu swej szczupłej tylko garstki, ale cesarzowi byli bardzo niemili, bo w *parlamencie atakowali osobiście jego i jego ród a wiwatowali na cześć Hohenzollernów...*

W tych warunkach istnienie dalsze państwa jako całości mogło być zagwarantowane tylko polityką nawskróś *konserwatywną*, wprost *kwietystyczną*. Nie ruszać niczego, bo wszystko gotowe się rozsypać... Ale znowu z tym kwietyzmem kłóciła się konieczność *żywotności polityki*, jeżeli państwu, od wschodu i od północy graniczącemu z ruchliwemi jednostkami państwowemi, chce się zachować stanowisko *wielkomocarstwowe*. Straciło się *Lombardję* i *Wenecję*, więc trzeba było przyłączyć *Bośnję* i *Hercogowinę*, bo inaczej odpadnięcie tamtych części będzie początkiem *rozpadnięcia się całości*. *Rosja* szerzyła swą propagandę polityczną wśród *słowiańskich narodów bałkańskich* — trzeba temu *przeciwdziałać*, bo inaczej straci się swoich *Serbów*, straci się ogólny swój prestige... Więc musiało się mieć *inicjatywę*, musiało się mieć *odporność*, kiedy żyć można było tylko — zachowując się spokojnie w spokojnym świecie... Znaleźć jakąś radę na to, przekraczało absolutnie intelekt tego przeciętnego człowieka, zwłaszcza gdy *nieszczęścia rodzinne* resztki zdolności myślenia na dalszą metę w nim zabiły...

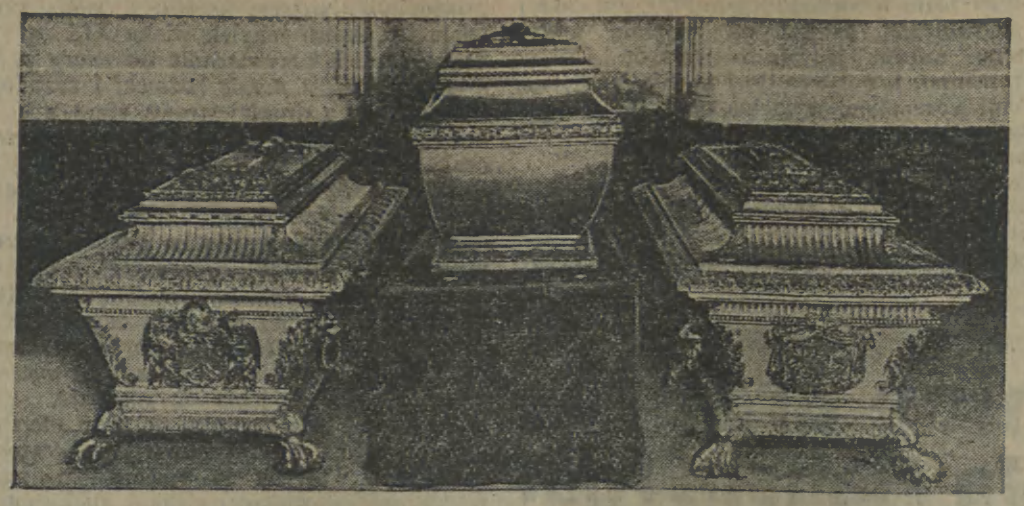

Krypta w kościele OO. Kapucynów w Wiedniu, zawierająca trumny ze zwłokami ś. p. cesarzowej austrjackiej Elżbiety, żony Franciszka Józefa I. (z. l. str.); arcyksięcia i następcy tronu austrjackiego Rudolfa, zmarłego tragiczną śmiercią (z pr. str.) i cesarza austrjackiego Franciszka Józefa I. (w środku).

Ta charakterystyka Franciszka Józefa jako monarchy Austro-Węgier upraszcza analizę jego *stosunku do Polaków* w Galicji i vice versa.

Tu wystąpiła, wystąpić musiała *nieszczerość*, chociaż i jedna i druga strona z niej nie zdawały sobie sprawy. On nas nie rozumiał, bo *nie widział nas*, części wielkiego narodu, dążącego do odzyskania utraconej państwowości, a widział w nas tylko „*swój*“ lud, *Polaków galicyjskich*, czy *Galicjan polskich*. My zaś „*staliśmy przy nim*“, bo to umożliwiało nam *przygotowywanie dla naszego narodu bodaj części przyszłego własnego domu*. Tą metodą uzyskaliśmy *wiele* w dziedzinie *administracji*, bardzo *wiele* w *szkolnictwie*, bardzo *mało* w sferze *gospodarczej*.

W sto lat od urodzenia Franciszka Józefa Polak spokojnie może stanąć u jego sarkofagu. Ani *łzy sentymentalnej nie uroni, ani kamieniem na niego nie rzuci*. W dziejach polskiego narodu Franciszek Józef bezwiednie spełniał to, co mu opiekująca się nami Opatrzność spełnić kazała.

E. HARDT.

Lot okrężny nad Italją.

Program lotów. — Wysoki stan lotnictwa włoskiego. — Rekordy włoskie.

Kraków, 17 sierpnia.

Królewski Klub Italji, prosił o wpisanie do *„Kalendarza Sportowego 1930“* Międzynarodowego Związku Aeronautycznego *(F. A. I.) międzynarodowych zawodów dla samolotów sportowych pierwszej kategorji*. Samoloty sportowe pierwszej kategorji, są to takie samoloty, których waga nie przekracza *400 klg*.

Zawody te noszą nazwę: *„Lot okrężny nad Italją“* i odbędą się w dniach *21, 22, 23, sierpnia b. r.* — Składać się będą z prób następujących:

a) Próba wysokości, z ciężarem użytecznym 200 klg. najmniej 2.000 mtr. w 40 minutach;

b) *próby lądowania* (najkrótsze);

c) badania *zalet* turystycznych. (Łatwość pilotażu, wygody osobiste, wytrzymałość itd.);

d) wreszcie zostanie dokonany w czterech etapach, sam właściwy *lot nad Italją*, którego mapkę podajemy.

Lotnictwo turystyczne włoskie stoi bardzo wysoko, a rząd włoski popiera bardzo forsownie wszelkie kluby lotnicze. Dzisiaj na świecie, są właściwie trzy wielkie *potęgi lotnicze:* na pierwszym miejscu *Ameryka*, na drugim *Anglja*, na trzecim — śmiało postawić możemy *Włochy*.

Dlaczego to się tak dzieje? — Otóż *Mussolini* sam jest *lotnikiem i pilotem*, a *trzy czwarte jego ministrów* to również pełnowartościowi *lotnicy*.

Dlatego we Włoszech, we wszystkich usiłowaniach rządowych niezwykłą pieczołowitością otacza się lotnictwo — rozumiejąc jego znaczenie państwowe.

W *„Locie Okrężnym nad Italją“* niewątpliwie Włochy będą chciały zagarnąć wszystkie *nagrody*. — Będą miały *mało konkurentów*, bo wszystkie wysiłki innych państw, są skierowane na *Międzynarodowy Konkurs Awionetek, wyruszający z Berlina*.

Nie mniej, gdyby nawet tego nie było, konkurencja włoska na tym polu należy do najsilniejszych. — Już kilka *rekordów wszechświatowych* tej kategorji maszyn należy do *Włoch* i te niełatwo go sobie wydrzeć dadzą.

Mapka lotu okrężnego ponad Italją.

Są to: a) rekord *długości lotu w obwodzie zamkniętym* (1601 klm);

b) rekord *długości czasu lotu* (29 g. 4 min. 54 sek.);

c) rekord *wysokości lotu* (6782 m.).

Wszystkie trzy zdobył *Renato Donati*, pilot oblatujący fabryki *Fiat* na awionetce tej fabryki.

Kącik językowy.

Un si pytau, cy jo wim?

Kraków, 17 sierpnia.

Sześć słów — *sześć błędów wymowy*, z jaką spotykamy się niestety, nietylko u *ludu*, ale również wśród warstw *inteligencji*. *„Podaj mi chlib“* mówi *lwowianin*, który prócz tego „krasi“ swą mowę nie potrzebnem słówkiem *„ta“* lub przysłowiowem *„ta joj“*, n. p. *„Ta idź pan“* — *„Ta joj, co pan robi“*, gwarzy „słodziutko“ urocza *lwowianeczka*. *Warszawiak* zaś na odmianę ciągle *„któsia“* i *cósia“* np. w zdaniach: *„cóś takiego“* lub: *„któś mi o tem powiedział“*. W innych znów okolicach słychać *„mazurzenie“* polega często na wymawianiu „s“ zamiast „sz“, — „z“ zamiast „rz“ lub „ż“. Są to, jak wiemy, nie błędy ortograficzne, lecz błędy wymowy, które, podobnie jak tamte, zachwaszczają nasz język, które, podobnie jak tamte, tępić należy bez względnie.

Z błędami jednak — podobnie jak z chorobą; jeśli chcesz z nią walczyć, musisz ją *poznać* i *znać*, inaczej daremny twój trud i praca. Otóż trzeba wiedzieć, że obok ortografji, zawierającej przepisy *poprawnego pisania*, istnieje t. zw.: *„ortofonja“* podająca wskazówki *poprawnego wymawiania*, na które dzisiaj zwraca się *mało* uwagi, nawet w *szkołach*. Na czem więc polegają rozmaite, najczęstsze *błędy wymowy*.

Pierwszą grupę stanowią *„nieprawidłowe“ pochylenia samogłosek*, nieprawidłowe nie ze stanowiska gramatyki naukowej, tylko w stosunku do dzisiejszej praktyki. Jeden przykład wyjaśni to lepiej: Niektórzy pochylają „o“ w słowach „*ktoś*“ i „*coś*“ i wymawiają: „*któś*“ i „*cóś*“. Naukowego błędu tu niema, gdyż w innych analogicznych wypadkach jest pochylenie np.: „*któż*“ i „*cóż*“. Ponieważ jednak „*większość*“ ludzi inteligentnych wymawia dziś: „*ktoś*“, „*coś*“ — więc formy z pochyleniem: „*któś*“ i „*cóś*“ uważamy za *błędne*.

Podobnie błędnemi formami są słowa: „*chlib*“, „*mliko*“, „*dyszcz*“, „*gniwać się*“, „*pon*“, „*un*“ i t. p.

Druga grupa błędów — to t. zw. *mazurzenie*, zupełnie zrozumiałe u *ludu*, niedopuszczalne jednak w ustach inteligencji. A przecież można się spotkać z ludźmi, którzy „szczycą“ się swoją błędną wymową i zarażają nią innych. Oto kilka „kwiatków“: „moja *zona przysła*“, „*udezył* go zbój“, „nie trza *wasej* łaski“. Inna rzecz, że *gwara ludowa* użyta w *utworach literackich*, na deskach *scenicznych*, czasem nawet na *kazalnicy* jest i będzie zawsze *mile* przyjęta przez czytelników i słuchaczy. *Nauczyciel* jednak, szczególnie *na wsi*, musi przedewszystkiem sam wyzbyć się gwary, a potem uczyć dzieci wymowy „poprawnej“ t. j. przyjętej przez większość oświeconego społeczeństwa.

Trzecia grupa błędów — to *zatrata „nosówki“* szczególnie na końcu wyrazów. Objaw to bardzo powszechny. Znałem n. p. wysokiego dygnitarza w naszem Ministerstwie W. R. i O. P., który ze specjalnym akcentem mawiał: „Kochajmy naszo wielko ojczyznę“,

JAN WIKTOR.

MUZYKA STÓP DREWNIANYCH

Fragment z reportażu powieściowego „Zbłąkana miłość“ z życia emigracji.

Panu *Duhamelowi* z prośbą, aby zechciał wejrzeć w stosunki więzień francuskich.

Zwyczajnie jak codzień krótki spacer.

Przez bramę ujrzeli brukowany dziedziniec, w środku którego jeszcze stara, omszała, rozkraczna studnia, kradła tyle ciasnej przestrzeni. Wygrzebali się z mrocznego korytarza i powoli posuwali ponurzy, zgarbieni. Ciężkie, jakby z błota ulepione ubrania, ogolone łby, maski na twarzach dawały wrażenie ogniłych, trupich główek. — Rozwinął się długi szereg, a wciąż wynurzały się upiory, aby dreptać naokoło — naokoło po małem dziedzińcu.

Nogi uwięzione prawem, zmęczone, skazane na karę chodzenia, nie mogły rozluźnić skrępowania.

Między jednym a drugim pusta przestrzeń pięciu kroków, aby szept nie przebiegł przestrzeni od ust mówiącego do ucha poprzedniego towarzysza. Oczy utkwione w pustce. Każdy bał się spojrzeć w górę. Poco? Pokusa. Zaraz rozprężenie w całem ciele i zwarjowanie duszy. Tęsknota do słonka jest życiem, które karmi się nadzieją. Ale ich wzrok uciekał od niebieskiego mamidła, przerzuconego poza mury z tamtego świata.

Jędrek razem z innymi okrążał podwórze w takt przymusowej komendy. Niespodziewanie zachwiał się, złamał linję i porządek, wyznaczony co dnia temi samemi nakazami. Usłyszał szmer.

— Liście...

Wszystkie drzewa, jakie tam widział teraz szeleściły, a on wzruszonem sercem powtarzał ich mowę.

— Znalazły mnie aż tutaj. Jezu!

Stanął wprostowany. Pierś rozdęta nadmiarem oddechu wznosiła się i opadała.

Chciał iść, iść — aż do odpadnięcia nóg. Nie mógł kroku zrobić, ani naprzód, ani w tył. Coś zagradzało drogę. Zdawało mu się, że ktoś tuż przy nim ziemię pługiem rozkrajał i pod bosemi stopami czuje miękką, wilgotną, pulchną glebę spragnioną posiewu.

Oczy szare, zgasłe rozbłysły i zanurzyły się w omglonych dalach. Usta zadrżały i uśmiechnęły się do skrawka nieba, do błękitnych przykazań — objawionymi więźniowi. Murom głuchym, niebu i pustce tajemnicę powierzał.

— Orzą w nas.

Już przyskoczył strażnik pilnujący karności i za barki chwycił.

— Naprzód — naprzód.

Jędrek otrząsnął się gwałtownie i pchnął go ślepiami i groźbą.

— Won cholero — bo kichy wypuszczę — jak mnie...

W szale rzucił się. To nie on, to młodość musiała wyszamotać siły uwięzione w powrozach. Osaczyli go i zanim jego pięść spadła, runęli i powalili, aż łbem wyrznął o kamienie. Jednym skokiem znaleźli się na Jędrku i przygnietli ciężarem ciał. W sposób mistrzowski tłukli w mordę, aby nie pokrwawić i kości nie przetrącić, a tylko ból zadać. Rozpostarty łach ludzki wzdrygał się kurczowo po każdem uderzeniu i urywkowo chwytał dławiące powietrze.

Wierzgającego powlekli przez podwórze do celi.

Zatrzasnęły się drzwi. Został sam. Tapczan, ściany dyszały zapachem tamtej ziemi. Powiew jego dalekiej ojczyzny: życia wsiowskiego gładził twarz, szemrał w uszach, spoczywał w duszy.

W dłoniach czuł czepigi, szedł boso po zagonach, po bruzdach — po skibach, jakby po razowym chlebie i jakby kiwał na konie...

— Tyle orania...

Znowu w progu stanął szept surowy i grozą zapełnił przestrzeń między czterema ścianami, że już nie było miejsca dla jego jednego słowa „orzą“.

— Jutro do raportu — potem na spacerek — przestaniesz awanturować się —

Jędrek przebudzony otwarł powieki i w zdumieniu patrzył. Wzrok uwiązgł w zakratowanych oknach. Przerażenie zwierzęcia, wpędzonego w zasadzkę po śmiertelnej ucieczce.

— Gdzie ja? — panie ja chcę — bełkotał głupio, bez treści.

Ciałem wstrząsnął szloch, jakby to posadzka wzdrygała się długo, bez przerwy.

— Jezu! — to ja poto przyjechałem do tego kraju...

Za kilka dni Jędrek miał odcierpieć karę razem z innymi skazanymi.

— Spacerek...

Saboty drewniane wystukiwały dziwny, straszliwy w swej jednostajności marsz od cel do tej sali.

Z szarego ubrania żółte numery dawały znać, kto idzie.

Długi sznur zatrzymał się.

Pod ścianami sterczały pieńki blachą obite.

Pouczono ich krótkiemi słowami, że za przekroczenie takie a takie mają chodzić naokoło krokiem wojskowym z rękami złożonemi na piersiach.

Stanęli w szeregu numerami.

Rozkaz.

Rozpoczął się pochód. Jeden z drugim. Idący z tyłu opierał oczy na barkach poprzednika, zdawało się, że one tylko podtrzymują, aby nie upadli.

W środku dozorca wywijał rozkazem ostrym, tnącym po nogach, po grzbietach.

— Lewa — prawa — *Gauche — droite!* —

Dla niego „ą" i „ę" zupełnie nie isniało na końcu wyrazów. Czasem znów spotykamy się z objawem wręcz przeciwnym, polegającym na zbyt *jaskrawem* wymawianiu „ę" i „ą", co także nas razi, zwłaszcza że te dwa dźwięki coraz bardziej zanikają w naszej wymowie.

Natomiast zupełnie dopuszczalne jest opuszczenie w *wymowie* (nie w piśmie) dźwięku, jeśli on sprawia pewną trudność naszym organom głosowym. Tu należy końcowe „ł" po *spółgłosce* np. wolno wymawiać: „on *spad*" (pisać: spadł); „on *siad*" (pisać: siadł). Również dozwolona jest wymowa: „*jabko*", choć pisownia wymaga „ł": „*jabłko*". Niektórzy jednak opuszczają „ł" po *samogłosce*, a raczej zastępują je przez „u", np. zamiast: „*pytał*", mówią: pytau, zamiast: „widziałeś" wymawiają: wydziaueś. Jest to lenistwo i niechlujstwo językowe.

Czwartym błędem wymowy, a raczej mowy polskiej są t. zw. *wtręty*, które ośmieszają mówiącego, a rażą ucho słuchacza. Do najpospolitszych, współczesnych należą: „*panie*" „*no*", „*panie tego*", „*prawda*", „*nie*" i t. p.

Czy nie słyszeliśmy często takiego „klasycznego" zdania z ust krztuszącego się Polaka: „*No*, ja, *panie*, wczoraj, *panie tego*, byłem, *prawda*, na przedstawieniu". Aż pięć słów jest tutaj zbytecznych, które są wynikiem roztrzepania mówiącego i brzydkiego nałogu. Albo Marynia — gimnazjalistka, z dawnego *zaboru niemieckiego* pyta bezmyślnie: „Czy wujcio pójdzie ze mną, *nie?*" „Czy ciocia zdrowa, *nie?*" Pan Bóg raczy wiedzieć, dlaczego w każdem niemal pytaniu muszą tam dodać: „*nie*"?

Zresztą i dawny Polak nie był wolny od tego, a unieśmiertelnił to znakomicie *Fredro* w scenie, kiedy biedny *Dyndalski* pisze w liście owe nałogowe słowa *Cześnika*: „*mocium panie*". My z Cześnika się śmiejemy, a jednak naśladujemy go na swój sposób.

Do tej samej wreszcie grupy błędów należy używanie *dźwięków nieartykułowych*, które Niemiec nazywa *Naturlaute*. Najczęściej słyszymy je z ust ucznia nieprzygotowanego, który usiłuje niemi zastąpić treść właściwą, często jednak także „*ykania*" czy „*akania*" rozlegają się rażącym dysonansem w sali sejmowej, w gmachach sądowych, ba, — nawet w przybytkach nauki: gimnazjach i uniwersytetach: posłowie, sędziowie, obrońcy i nauczyciele grzeszą tu na równi z uczniami.

Powyższe uwagi umieściłem w nadziei, że wszyscy kochający język będą odtąd zwracać baczniejszą uwagę na swoją i drugich *wymowę*, poprawiać swoje i cudze błędy i strzec się każenia najcenniejszego naszego skarbu: polskiej mowy.

Z. Z.

Z Polski o Polsce.

Warszawa-Zakopane

Garść wrażeń z 500 km. wędrówki pieszej.

Ze stolicy do Czerska.

Czy warto iść pieszo do Zakopanego. — Pożegnanie Warszawy. — Na bezdrożach Falenic i Michalinów. — Romantyczny zakątek na wyspie w Starym Otwocku. — Wśród ruin zamczyska książąt mazowieckich w Czersku.

Kraków, 17 sierpnia.

Spędziłem urlop oryginalnie a pysznie: przemaszerowałem pieszo *z Warszawy do Zakopanego*.

— Też pomysł! — zawoła ten i ów z Czytelników. — To już lepiej, jak ów słynny

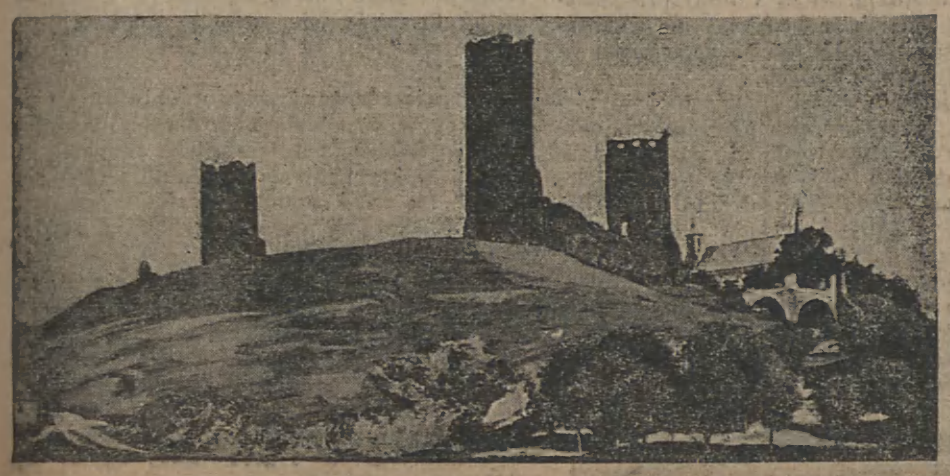

Ruiny zamku pochodzącego z XIV w. w Czersku, książąt Mazowieckich w pow. Grójeckim, pod Warszawą.

rzewc Jackowski, przejść 150 razy dookoła placu Marsz. Piłsudskiego w Warszawie!

Wystarczy wszakże wziąć do ręki mapę i trochę litratury turystycznej, aby przekonać się, że szlak nie jest bynajmniej nudny. Owszem — trasa warszawsko-zakopiańska istotnie przedstawia się dość monotonnie, gdy się ją przebywa *koleją*. Ale przecież nie namawiam nikogo, aby szedł — wzdłuż toru kolejowego. O ileż bowiem ciekawszy jest szlak, biegnący na przełaj, przez *Radom, Góry Świętokrzyskie, dolinę Dunajca, Beskidy Sandeckie, Pieniny i Spisz*. Tylko pierwszy, stukilometrowy etap tej drogi grzeszy pewną dozą monotonności. Ale to nic: człowiek, który po całorocznem smażeniu się w dusznych murach wielkiego miasta wyrywa się na swobodę, nie dostrzega w pierwszych dniach wędrówki jednostajności mazowieckich piasków, — cieszy go przestrzeń, słońce i zieleń! Zanim zdąży nam się znudzić monotonja równin — już jesteśmy wśród malowniczego *przedgórza*, już mocne, bujne wrażenia zaczynają się sypać, jak z rogu obfitości.

— Przeklniesz swój głupi projekt — mówił mi ktoś życzliwy.

— Wrócisz z połowy drogi!

Nie przekląłem projektu, z połowy drogi nie wróciłem — doszedłem do końca, zadowolony, nasycony obrazami i wzruszeniami, które pozostaną na całe życie. Szlak bowiem, wiodący z nizin mazowieckich w podniebną krainę Tatr ma w sobie tyle siły absorbującej, daje tak olbrzymią i tak rozległą *skalę wrażeń*, że trudno o bardziej wymarzony teren dla dłuższych wędrówek po kraju. Daje on nam jakgdyby *Polskę w przekroju*...

* * *

Wyruszyłem z Warszawy pod koniec czerwca. Narazie — sam jeden. Towarzysz mój, niejaki p. *Mityczny*, nie mógł jakoś skoordynować swego urlopu z moim i dopędzi mnie dopiero po 10-ciu dniach — *w Daleszycach*. Dopędzi — oczywiście koleją.

Most Poniatowskiego w Warszawie. Kilka przychylnych twarzy odprowadza wędrownika:

— Trzymaj się ciepło!

— A zwalniaj na zakrętach — brzmią ostatnie słowa zachęty.

Raz, dwa, trzy. Maaaa — rsz...

Idę na *Radom* drogą nie najkrótszą, ale najbardziej interesującą: przez *Falenicę, Karczew, Stary Otwock, Czersk, Warkę*. Kilka kilometrów wałem ochronnym, wzdłuż którego ciągnie się szosa wśród wielkich połaci wikliny. Zdaleka jaśnieje w słońcu szeroko rozsiadła Warszawa, migają wysmukłe wieżyce kościoła Zbawiciela, bieleją nad Wisłą białe mury olbrzyma szkolnego na Czerniakowie, wśród zieleni ogrodów i sadów.

Granica miasta! Szosa, która dotąd wybrukowana była wcale ordynarnemi *kociemi łbami* (specyficzny przysmak warszawski), znienacka — przystojnieje: miejsce łebków zajmuje regularny gładki bruk z kostki kamiennej. Jesteśmy na *szosie powiatowej*, niedawno tu przeprowadzonej. Pierwszy to pod Warszawą kilkunastokilometrowy odcinek równej przyzwoitej drogi — to też samochody i motocykle radosne tam i z powrotem wyprawiają harce...

Od wioski *Miedzeszyn* gościniec skręca na lewo i opuszcza szlak wiślany (jeszcze jeden rzut oka w tył — na rozsłonecznioną panoramę południowych odnóży stolicy) i prowadzi wprost na popularną „*linję*" *letnisk*, daleko i szeroko słynących ze zdrowego powietrza leśnego i z... braku najprymitywniejszych urządzeń. Przez pustynną, smutną okolicę, gdzie między kępkami drzewek zrzadka tulą się jakieś zapadłe domki, przedziera się szosa do *Falenicy* — stolicy rozległej *gminy letniskowej*. Szopy, płotki i parkany, tory kolei i kolejki — a dalej centrum mieściny, jakgdyby *żywcem wydarte z dzikiego Wschodu*. W wąziutkiej uliczce odrapane krzywe domki, koślawe parodje sklepików, wrzeszczące jaskrawemi szyldami, brud, odór, rwetes — *nie miasteczko, ale jakaś przedziwna jego karykatura! A dalej* — „*dzielnice willowe*", pełne spe-

Ruiny pałacu Bielińskich z XVIII w. w Otwocku Starym pod Warszawą.

Ozdobne odrzwia pałacu Bielińskich z XVIII w. w Otwocku Starym pod Warszawą.

Wzrok wszystkich prosto, na baczność skierowany ku temu krzykowi. W defiladzie paradnej mijali wieczność minut czy godzin. — Spoczynek. Padli na słupki obite blachą, niemal wrośli w nie i stali się blachą i kamieniem.

Niedługo potem rozkaz:

— Marsz! *A'route!*

Z godziny na godzinę nogi coraz bardziej martwiały i stawały się obcemi blokami, które trzeba przenosić z miejsca na miejsce. — Oczy stępiałe i niepotrzebne. Dusza niezdolna do żadnego odczucia, do przyjmowania wrażeń. Zatracał się czas, miejsce. To nie oni chodzą po wykreślonym kole — oni znieruchomieli w miejscu, a naokoło nich mury krążą, toczą się aż do obłędu — oszalałe mury.

Jędrek śmiał się — pustą gębą.

— Widzisz draniu — masz — oranina ci pachłaniała — odpadnie ci od pyska cała wieś. — Uchlałeś się oraną ziemią. — Może ci jeszcze dać?

Tuż przed Jędrkiem w zwykłej odległości chodził młody chłopak. Barki wątłe garbiły się, pochylały coraz bardziej zwiększającym się ciężarem kary.

— Lewa — prawa — lewa — prawa.

Nie mógł podnieść stóp. Zachwiał się. — Krótką przestrzeń przeciął sobą jak nagłym ciosem i zesunął się pod nogi Jędrka.

W szeregu zamieszanie. Zbiegły się kroki. Nieszczęśliwego otoczyły pochylone łby. — Z kaźni piersi więzień przeklęty głos — wyłamał kraty warg.

— Zemdlał!

Strażnik kopnął ów okrzyk wzrokiem.

— Milczeć! — Chcesz jeszcze jutro za gadanie?

Groza przejęła ciszę. Szczęki zwarte do zgrzytu.

Chłopak mozolił się, żeby wstać, niemocnemi ruchami wygrzebywał siebie z pustki i daremności. Ręce były bez czucia, nogi bryły oderwane.

Chlusnęli wodą. Zdjęli maskę — aby mógł oddychać. Ociekającego postawili pod ścianą. Pustemi ustami łapał powietrze.

— Naprzód — naprzód...

— Zaraz — idę — idę...

Z powrotem wśrubowali go w pochód.

Już równo zatoczyli koło — stukotem sabotów — jednaką ponurą przerażającą muzyką więzienną.

Usunęły się drzwi. Zadygotały oczy. Ktoś żyjący wszedł.

Kontrolor śmignął wzrokiem i drwiącym uśmiechem.

— Fortepianik z kamieni.

Dozorca krzyknął:

— Baczność!

Jeszcze ostatek ech załaskotał, jeszcze ktoś bezsilnie zakołysał się i wydany rozkaz ustawił w szeregu sprężonych na baczność przed władzą.

— Spocznij!

Dźwignęły się ręce po czapki i opadły wzdłuż ciał. Zabielały golone łby.

Znów:

— *A'route!*

Zadreptali w miejscu. Nogi nie mogły dźwignąć ciszy, spoczynku i nieruchomości.

— Lewa — prawa — lewa — prawa...

Zakłapały podeszwy drewniane — w jednym rytmie — raz — raz — raz. Paradny stukot.

Młody chłopak zachwiał się powtórnie. Już miał upaść. Jędrek podbiegł z pomocą i ruchem niespodziewanie serdecznym ujął go w ramiona. W fałdzie współczucia ludzkiego, na twardej, włochatej aresztanckiej kurtce chory złożył twarz, przycisnął mocno z dziecięcą tkliwością.

— Co ci bracie? — boli?

W obcej mowie poskarżył się i coś zajęczał.

Wyrwali go. Wynosili. Chory podniósł głowę. Szukał Jędrka i w pustce drzwi, w poczynającym się mroku korytarza, oczy rozbłysły porywem wdzięczności, wspomnieniem braterskiego uścisku. W nagłem spojrzeniu wymienili powitanie i pożegnanie.

Jędrek widział twarz, tamten widział maskę i serce.

Zniknął. W sali został zabłąkany uśmiech — duch wyzwolonej duszy z cierpienia — najwyższa prawda ludzkiej miłości ukryta w najtajniejszych zakamarkach człowieczeństwa.

Jędrek ze współczuciem pomyślał — że może jutro, albo pojutrze tamten znów omdleje — ocucą — postawią — aż musi odbyć nakazaną drogę. Przez tydzień, czy przez miesiąc. — Litości — miłosierny Jezu!

Już żaden nie zatoczył się, ani nie potknął. Równo — równo — z wprawą. Z godziny na godzinę zwiększał się trud. Posadzka zmieniała się w instrument o tysiącu twardych strunach, wzdrygających się jednostajnie.

Łoskotem straszliwego marszu żłobili, wykreślali koło swej męki w płytach ugniecionych, wklęsnych, potrzaskanych.

Zmierzch schodził do kaźni.

Więźniowie zanurzali się w zmroku, coraz bardziej gęstniejącym. — W głębinach jego z trudem tylko można było rozeznać — poszczególne postacie pochodu — widma — zmory — upiory kary.

Zgarbieni, dźwigali daremny, bezcelowy mozół tylu godzin, tylu kilometrów nakazanych o wodzie i chlebie. Zdawało się murom otaczającym, że skazańcy nigdy nie dosięgną kresu wędrówki.

To już nie żyjące twory, ale bryły poruszane groźbą kary, idą, wloką się w nieskończoność niepotrzebnego zmęczenia, w pustkę i nicość wieczoru.

Podeszwy przywierały do płyt i z trudem odrywały się.

Ciężki odgłos drewnianych sabotów rozlegał się równo, jednostajnie, daremnie.

Chyba rany kamieni taki łoskot wydają.

Jakże musiała cierpieć posadzka obijana obolałemi stopami.

Grube mury pogrążone w ponurem milczeniu i bezlitosnej ciemności długo słuchały nieszczęśliwej pieśni nóg ludzkich.

cyficznie podwarszawskiego czarnego kurzu i piachu — denerwująco jednakowe drewniane wille, nabite mrowiem ludzkiem do ostateczności, galerje leżaków i łóżek polowych z rozgniecioną pościelą, nieprzerwane girlandy suszącej się bielizny i ponad tem wszystkiem chropowata kakofonja gramofonów. Tu przyjeżdżają na lato zmęczeni pracą ludzie z Warszawy, aby oddychać — *honny soit qui mal y pense!* — *balsamicznem* powietrzem... Smutnie sterczą zamyślone cherlawe sosenki w willach falenickich — sosenki jakgdyby zwarzone trującym oddechem wielkiego miasta...

Z Falenicy idę dalej, a właściwie brnę — przez *Michalin, Józefów*. Ani jednej, dosłownie ani jednej jako tako utrzymanej ulicy — tylko piach i piach, *czarny, brudny, grząski piach!*

W *Józefowie* ta sama dzicz, ale krajobraz odrobinę ciekawszy, pokazują się pagórki — więcej przestrzeni i wolnego lasu, nie pociętego w siateczkę wąskich ulic. Wreszcie — rzeka Świder, cicho i leniwie wijąca się wśród mielizn.

Nad samą rzeką, w zapadłym zdala od rozgwaru letniskowego domeczku nocleg wśród swoich. Czuję się jeszcze jakby w Warszawie. Nazajutrz dopiero „wyruszam" naprawdę. Piąta rano. Idzie się raźno przez pola, rozjaśnione słońcem. Most — i — *letnisko Świder*, jedno z najbardziej wziętych, stojące w hierarchji podstołecznej o klasę wyżej od Falenic i Michalinów. Zaiste — niema tu tłoku i harmideru, wille gubią się w dużych, pięknym lasem porosłych terenach, — to samo jednak *bezdroże*, ta sama *nuda jednakowej, drewnianej architektury*.

Otwock — końcowy punkt „linji". Pod względem zabudowania nieodmienny, pod względem hałasu i nastroju raczej z Falenicą niż Świdrem spokrewniony. A przecież — należy mu się ciepłe słówko, bo pierwszy na linji zdołał przezwyciężyć martwotę, znaleźć dzielnych ludzi, wykombinować fundusze na porządne, do najdalszych krańców miasta sięgające *bruki, chodniki, światło elektryczne, park klimatyczny, wspaniałe kasyno*. Myśli teraz Otwock i o *wodociągu*. Rozwija się nieustannie, pragnąc stać się podobnym do Europy i godnym miana uzdrowiska podstołecznego. Są oczywiście trudności — miasto nie jest w możności spalić naraz wszystkich ohydnych drewnianych ruder, aby powystawiać na ich miejsce zgrabne, białe wille... Robi się jednak wiele, nadając nędznej architekturze — *przyzwoite, kulturalne ramy*.

Kieruję się teraz na *Karczew*. Oddziela go od Otwocka pustynne bezludzie, przecięte jedynie torem kolejki wąskotorowej. Naga, piaszczysta równia, zrzadka porosła mizerną trawką i nieprzyjaźnie nastroszonemi krzakami jałowca. Zdala widzę zbitą masę drzew i szczyt kościółka ponad białemi domkami. To Karczew. Droga dłuży się jednak niepomiernie — nie mogę się doczekać jej końca.

Karczew — miasteczko ciche, sielskie, szerokim pasem ku Wiśle wyciągnięte, ginie gdzieś w piaskach nadrzecznych. Osobliwością jest ładny kościół barokowy, należący do tegoż typu, co *Wizytki* w Warszawie. — Chlubi się dwoma staremi pomnikami, z których piękne jest zwłaszcza wmurowane w zewnętrzną ścianę marmurowe epitaphium mieszczanina *Melchiora Walbacha*. Postać zmarłego wykonana z prawdziwym artyzmem. — *„Sive morimur sive vivimus Christi sumus"* głosi napis, a niżej data — *1595*.

Dwie drogi prowadzą z Karczewia do *Starego Otwocka:* jedna — szerokim „polskim" traktem, druga ścieżynką wśród mokradeł. Obieram ścieżkę, która dziś po tygodniach suszy, jest twarda i wygodna. Dwa kilometry dalej ścieżyna wyprowadza na trakt — walę teraz piachami wśród rozległych sadów owocowych hr. Jezierskiego. Wreszcie — wieś *Otwock Wielki* albo *Stary*. Dworek w miłym ogródku, wokoło typowe zabudowania folwarczne. Sługa dworski wydaje mi klucz — idę przez mostek i groblę, otwieram furtę i staję na *wyspie zamkowej*. Bardzo tu ładnie i — romantycznie. Trudno uwierzyć, że można tak poetyczny zakątek wyczarować z piachów i pustkowi Mazowsza. Nad brzegiem jeziora, wśród wysokopiennego parku, wznoszą się *ruiny okazałego pałacu*, zbudowanego przez *Kazimierza Bielińskiego, marszałka wielkiego koronnego króla Augusta Mocnego*. Dach podziurawiony jest jak sito, wnętrze pałacu przedstawia jedno wielkie rumowisko — tylko zewnętrzne mury zachowały się prawie nienaruszone, wraz z ozdobami i napisami. Dziwić się należy, że budowla jest pozostawiona w takim stanie — możnaby jej przy niewielkim stosunkowo nakładzie środków przywrócić dawną świetność. Z pośród kilkunastu obszernych sal zamkowych dwie zachowały wcale nieźle *malowidła ścienne*, przedstawiające jakieś południowe porty morskie, to znów obrazy ze świata antycznego. W wielkiej sali centralnej na I piętrze — szereg wnęk, w których zapewne stały figury i *portal* z aniołkami. To wszystko, co pozostało w środku.

Czoło *fasady* ozdobione jest suto emblematami wojskowemi, a napis umieszczony nad kamiennemi drzwiami głosi: *„Nolo minor me timeat despiciatque maior"*, co znaczy: nie chcę aby mniejszy mnie się obawiał i aby większy mną pogardzał. Piękna zaiste zasada. Obramowania okien i przestrzenie między niemi wypełnione są muszlami rokokowemi, herbami, festonami, między któremi uwijają się tłuste aniołki, dźwigające rogi obfitości. Po bokach strzegą pałacu *dwie wieże* — wejście po krętych schodkach dość uciążliwe, a na szczycie oczekują wędrowca gęste roje jakichś niesamowitych muszek. Warto jednak narazić się na ich dokuczliwe towarzystwo, aby podziwiać daleki widok — na złoto-zielony świat, na srebrzysto-szarą wstęgę Wisełki, na ciemne ściany lasów.

Ze Starego Otwocka maszeruję wśród wierzb i topoli, między przytulonemi do ulicy domostwami wiosek, ku *Kępie Glinieckiej*. Przewóz przez Wisłę: chwila błogiego rozkrochmalenia na łagodnej fali, leniwy plusk wioseł. Stop — łódź dobija do brzegu, wśród czeredy kąpiących się nagusiąt. Po paru minutach jestem w miasteczku, Górze Kalwarji. Gród ten, liczący około 6000 mieszkańców, leży w zakończeniu kolejki wąskotorowej, która prowadzi z Warszawy przez *Piaseczno*. Miasto jest dość młode w roku 1666 *biskup Wierzbicki* założył tu *Kalwarję* na wzór jerozolimskiej, powstały kościoły, klasztory, kaplice, a wokoło narosło osiedle. Po śmierci biskupa upadła świetność kościelna Góry, osiedle jednak zostało i trwa do dziś dnia. Z kościołów tylko dwa się zachowały i to niezbyt ciekawe. — Samo miasto stosunkowo schludne („ujdzie w tłoku" — jak się mówi w Warszawie), dumne jest ze swych szerokich, śmiało, iście po wielkomiejsku zakrojonych ulic, które dziwnie jakoś nie licują z małemi, parterowemi i jednopiętrowemi domami. Senną atmosferę ożywia rezydencja słynnego wśród ortodoksów żydowskich *cadyka* — *„cudotwórcy"*, do którego ciągną rzesze wiernych z całego kraju. Drugi czynnik „ożywczy" — to *turyści z Warszawy*, którzy udając się do odległego o 3 kilometry stąd zamku w *Czersku*, chcąc nie chcąc muszą przemierzyć *Górę*. Właśnie przyjechała kolejka — stojąc przy kramiku z wiśniami, obserwuję zdala jakieś wesołe towarzystwo. Z niemałem zdumieniem poznaję swoich znajomych, — a na czele autentyczny *Mityczny*, ten sam, z którym mam „randkę" na rynku w Daleszycach...

Poza Mitycznym są dwie damy, dwóch świeżo upieczonych adwokacików, jeden równie niedogotowany inżynierek i wreszcie jeden człek solidny — z braci dziennikarskiej.

— Przyjechałyśmy taki kawał drogi, trzydzieści dwa kilometry — mówi jedna z dam — żeby panu uprzyjemnić wymarsz!

— Idzie pan na taką szaleńczą wyprawę, muszę pana namówić, żeby pan w ostatniej chwili zmienił plan — powiada jeden z adwokaciąt. — Niech pan wraca do Warszawy i jedzie do Zakopanego koleją! Tam dopiero będzie pan sobie robił wycieczki — to rozumiem!

Zamiast „bawić" damy, muszę wyjaśniać czcigodnemu mecenasowi, że nie należę do zakonu *„bedekerzystów"*, czyli ludzi, którzy cenią na tym padole wyłącznie rzeczy, oznaczone w przewodniku trzema lub choćby dwiema gwiazdkami — ale że jestem *krajoznawcą*, to znaczy — chcę poznać kraj takim jakim on jest, poczynając od — piachów i jałowców...

— Co do mnie — nie umiałbym zrobić pięciu kilometrów drogą, gdzie widok nie byłby choć trochę pofalowany — twierdzi stanowczo adwokat. — A i tutaj przyjechałem, bo mi mówili, że będziemy się wdrapywali na jakąś Górę Kalwarję. Tymczasem — nabrali, zwyczajnie nabrali...

Gdyśmy jednak wyszli za miasto i — nieco dalej — skręcili w gościniec czerski, okazało się, że mecenas wcale nie został nabrany: teraz dopiero widzimy, że miasto istotnie leży na górze, dość stromo ku Wiśle opadającej. Pięknie wygląda zdaleka — z czerwonemi dachówkami kościołów.

Droga coraz bardziej urozmaicona prowadzi skrajem tarasu — w dole widać rozległą nizinę Wisły, poprzerzynaną białemi drogami, usianą kępkami drzew i oazami osiedli. A dalej niby rama obrazu — Wisła...

— A to co za wieże przed nami?

— To już — *Czersk!*

Coraz wyraźniej rysują się na horyzoncie kontury starych baszt zamkowych. Miasteczko — parę miłych dworków, kwadratowy duży rynek, wreszcie — za cmentarzykiem kościelnym — stajemy u stóp *zamku*. Teren ogrodzony dookoła drutem kolczastym, dla ochrony. Napis na furtce informuje nas, że ruin strzeże *Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości*. Jakiś starszy pan wpuszcza za biletami, sprzedaje widoczki, przewodniki.

Zamek czerski stanowi w ubogiej naogół w osobliwości okolicy Warszawy zabytek o wartości pierwszorzędnej. Ręka ludzka wespół z naturą stworzyła tu dzieło wielce malownicze. Na wysokiem stromem wzgórzu, królującem dumnie ponad niziną wiślaną — czerwone, poczerniałe ze starości baszty i mury, budowane w czasie, gdy Warszawa była zapadłem, nieznanem osiedlem rybackiem, a Czersk rezydencją *Książąt Mazowieckich*, bujnem kipiał życiem. Rdzeń zamku nie dochował się, możemy natomiast podziwiać doskonale zakonserwowaną czworokątną *wieżę wjazdową*, oraz dwie okrągłe baszty, połączone z bramą grubym, wysokim murem warownym. Z zamku do kościoła prowadzi mostek arkadowy, który wszakże pochodzi z czasów znacznie późniejszych: zbudowali go *Bielińscy*, ci ze *Starego Otwocka*. Pierwotny zamek miał przecież most zwodzony.

Ładna alejka biegnie dookoła ruin — przemiły z niej widok na okolicę, na rzekę i miasteczko. Godzinami można siedzieć na zboczu i wchłaniać oczami, odwykłemi od horyzontu, soczysty, rozpływający się gdzieś w nieskończoności, pełen spokoju krajobraz.

Kontemplację przerywa głos jednego z mecenasów, który właśnie obejrzał dokładnie zamek, oklepał protekcjonalnie mury i oświadczył:

— Nie wiem, na co komu taka rudera. Kazałbym tę ruinę poprostu rozebrać i z cegieł zbudować jakiś solidny nowoczesny gmach, — gdyby to oczywiście odemnie zależało.

Całe szczęście, że to — nie zależy od mecenasa...

Pod wieczór towarzystwo, opiwszy się limoniady w gospodzie niezmiernie uprzejmego i pogodnego imci *Wasążnika*, żegna się ze mną i, wykrzyknąwszy trzykrotnie „hip hip hurra" na cześć samotnego pielgrzyma, wędruje cherlawym nieco kroczkiem z powrotem — do Góry Kalwarji.

— A pamiętaj — Daleszyce, pierwszego lipca, o ósmej wieczór — na rynku! — woła mi jeszcze zdaleka Mityczny...

Wilhelm Sztrancman

Owad czczący włosy grzebieniem.

Obok pracowitości — czystość. — Czem i jak czyści się mrówka. —

Kraków, 17 sierpnia.

„Idź do mrówki — próżniaku!" — mawiał do niewolników mądry król Salomon, mając na myśli ich *pracowitość;* ale dzisiejsi naturaliści dodają: *idź uczyć się u mrówek higjeny i elegancji*, bowiem *czystość* jest u nich niemniejszym dogmatem życia od pracowitości. Mądra i przewidująca mrówczy charakter natura wyposażyła je w wszystkie potrzebne przybory *toaletowe*, nie zapominając o ostrym, zębatym *grzebieniu*.

Znakomite zdjęcie fotograficzne mrówki, dokonane zapomocą mikroskopu, a pozwalające na widzenie wszelkich szczegółów budowy owada, zwłaszcza nóżek tylnych, zaopatrzonych w rodzaj grzebienia oraz sierści, pokrywającej ciało mrówki.

Ciało mrówek pokryte jest *futerkiem* bardzo delikatnego włosa, z którego tu i ówdzie wystrzela *rogowa szpileczka* lub sztywna *sierść*. Pracując stale w ziemi, *zanieczyszczają sobie futerka*, czego — jak z obserwacji wnosić można — nie znoszą, *czesząc i czyszcząc je często*, aż do zupełnej czystości.

Najlepszą pomocą w porządkowaniu toalety jest ich własny, delikatnie karbowany i owłosiony *języczek*, zaś do *pracy grubszej* służą *dwa grzebienie*, przymocowane do *tylnych nóżek*. Grzebienie te są o krótkiej *rączce, sztywnym grzbiecie*, z dobrem *uzębieniem*, któremi mogą poruszać w najdowolniejszych kierunkach.

Do zabiegów toaletowych mrówki nie posiadają wyznaczonego czasu, lecz załatwiają je w miarę potrzeby, przy każdej nadarzającej się sposobności, więc *przy odżywianiu się, podczas pracy*, a nawet *w marszu*. Najpilniejszą pracę przerywa mrówka, gdy czuje się zabrudzoną; dochodzi do najbliższej bryłki, staje na tylnych nóżkach i z całą energją oczyszcza ciało z brudu.

Wśród nowych książek.

Kraków, 17 sierpnia.

Stefan Cybulski: BOGOWIE I LUDZIE W SZTUCE GRECKIEJ I RZYMSKIEJ, tekst objaśniający K. Michałowskiego, zeszyt I—III, nakładem Salonu Malarzy Polskich w Krakowie.

Gdziekolwiek w Europie, a może i na świecie, starożytność klasyczna stanowi przedmiot nauki szkolnej, wszędzie ilustruje się ją zapomocą *Tablic Cybulskiego*. Jeszcze będąc profesorem czy dyrektorem gimnazjalnym w przedwojennym Petersburgu, wybrał najlepsze okazy — np. stroju, uzbrojenia, machin oblężniczych, domów, mebli, monet i t. p., postarał się o ich artystyczne przedstawienie i dobrą reprodukcję barwną i z Niemiec puścił na cały świat *Cybulskii Tabulae quibus antiquitates Graecae et Romanae illustrantur*. Oglądaliśmy je na ścianach naszych izb szkolnych na długo przed wojną światową i przed powrotem na łono ojczyzny ich autora. Gdy przybył do Warszawy, zabrał się zaraz do ożywiania nauki greki i łaciny — muzyką, śpiewem, kompozycjami na zachowane resztki muzyki starożytnej i nowemi a dla nauczycieli zestawił odpowiedni materjał nut i tekstów. Ten śpiew i ta muzyka były tylko utopjami, prowadzącemi do — teatru szkolnego, grającego klasyczne tragedje i komedje z chórami śpiewającemi i tańczącemi. — Przedstawienia *„Heleny" Eurypidesa* i *„Ptaków" Arystofanesa* w reżyserji prof. *Cybulskiego* na *P. W. K.* unaoczniło widzom nietylko wieczną żywotność tekstu, ale i wieczne piękno form greckich, byleby się ich nie traktowało jak mumje galwanizowane, ale wcielało w żywe piękno chłopców i dziewcząt.

Otóż dla rozszerzenia środków propagowania piękna klasycznego rozpoczął prof. Cybulski nowe wydawnictwo. Wiadomo, że Grecy stworzyli w postaciach swych bogów symbole czy wyrazy najwznioślejszych idei w formie, która od wieków czaruje ludzkość swą pięknością. Najpiękniejsze postacie tych bogów wybrał, pięknie reprodukował i zestawił na swych nowych tablicach prof. Cybulski. Pierwszy zeszyt (album) przynosi sześć czarno-białych lub trójbarwnych plansz, przedstawiających *Zeusa-Jowisza* lub *sceny z jego życia*, wzięte z waz, fresków, monet, płaskorzeźb i posągów; reprodukcje drugiego zeszytu odnoszą się do *Hery-Junony*, trzeciego do *Ateny-Minerwy*. Dalszy ciąg przyniesie *Apollina, Artemis-Dianę* i t. d. aż do skompletowania całego *Olimpu*. Objaśnienia każdego z reprodukowanych dzieł pochodzą z pod pióra jednego z najwybitniejszych archeologów najmłodszego pokolenia, docenta lwowskiego dra *Michałowskiego*. Trudno o przyjemniejsze wprowadzenie do historji sztuki greckiej, jak jego kilkunastowierszowe opisy. Ze względów kompozycyjnych ujął wydawca większość reprodukcyj w ramki o motywach starożytnych ornamentów. Przy obrazach i płaskorzeźbach wyglądają one wcale organicznie, ale przy rzeźbach trochę rażą. Ale ten drobiazg ma być usunięty w dalszych zeszytach, a obecne stanowią prześliczne album dla każdego miłośnika piękna, a plansze, wyjęte z albumów, mogą zdobić ściany najwytworniejszego mieszkania, nie mówiąc już o izbach szkolnych. To też wydawnictwo prof. Cybulskiego powinno stać się niemniej popularnem, jak jego tablice starożytne.

Stefan Gąsiewicz: TERENOZNAWSTWO, Warszawa, Główna Księgarnia Wojskowa.

Szkolną naukę gografji poprzedza nibyto jakaś nauka *topografji*, orjentowania się w terenie, sporządzania szkiców, konstruowania, a zwłaszcza odczytywania map, ale kto po niej nie przeszedł wycieczek harcerskich, przysposobienia wojskowego lub służby wojskowej, ten się na podstawie samych wspomnień szkolnych nie bardzo wyznaje w terenie. Jest to defekt w wykształceniu, który właściwie należałoby stawiać narówni — z nieumiejętnością czytania, z analfabetyzmem. Mimo takiej ważności terenoznawstwa w ogólnem wykształceniu, nie było dotąd przystępnych podręczników do przyswojenia go sobie. To też choć podręcznik kapitana *Gąsiewicza* przeznaczony jest dla podoficerów, witamy go jako cenne źródło pouczenia także dla harcerzy, uczestników przysposobienia wojskowego i — wszystkich „cywilów", którzy w wycieczkach i podróżach, a nawet na spacerach znajdują się w terenie. Nauczą się z tej książeczki, obficie ilustrowanej, nazw części terenu i jego ukształtowania, dalej zasad kartografji i odczytywania map, także zdjęć lotniczych, orjentowania map i odnajdywania na nich swego stanowiska, sporządzania szkiców, wreszcie zwiadów terenu, t. j. na co trzeba patrzeć na drogach, lasach, wodach, brodach, mostach, osiedlach. Opisywaniem tych rzeczy zajmują się także często belletryści, ale jakże niewielu wśród nich takich, których opis, poza nastrojem i kolorytem, dawałby jasne wyobrażenie o danym odcinku terenu! Więc i literatom polecamy terenoznawstwo kapitana Gąsiewicza.

Przecław Smolik: JANA BUKOWSKIEGO PRACE GRAFICZNE, Łódź, nakładem Tow. Bibljofilów z zasiłkiem Departamentu kultury i sztuki Min. W. R. i O. P.

Młode *Tow. Bibljofilów w Łodzi* wydało w ciągu ostatniego trójlecia cztery publikacje, z których *„Zdobnictwo książki w twórczości Wyspiańskiego"*, opracowana przez p. *Smolika* miała charakter poniekąd rewelacyjny. Wspaniałością wyglądu i bogactwem barwnych reprodukcyj (41 rycin wielobarwnych i 107 czarno-białych okładek, układów, inicjałów, exlibrisów i ozdób drukarskich) przewyższa ją ostatnia praca p. Smolika o pracach graficznych *Jana Bukowskiego*. Krakowianin, wykształcony w Monachjum, Paryżu i Florencji, założył (z współpracą kolegów) w r. 1901 prywatną szkołę sztuki dekoracyjnej i przemysłu artystycznego i zorga-

Sztuka akrobatyczna u mrówek, przy pracy *oczyszczania ciała* jest zadziwiająca. Mrówka wychodzi na koniec liścia trawki, czepia się wierzchołka trzecią i czwartą parą nóżek, kręcąc się wciąż i wciąż w kółko, oczyszcza łebek pierwszą, wyczesując równocześnie brzuch i plecy ostatnią parą nóżek.

Zdarza się, *że dwie mrówki oczyszczają trzecią współpracowniczkę,* która z przyjemnością poddaje się nawet niezbyt delikatnym zabiegom, wisząc nieruchomo na listku. Taka usłużność zdaje się zachodzić wtedy, gdy *schorzała* siostra nie posiada dość siły własnej, a może też jest obowiązkową wobec *starszych wiekiem.*

starszych wiekiem. *(zeg.)*

Historja medalami zaświadczona

Może na czasie będzie przypomnienie medali gdańskich.

Na wieczne czasy. — Traktat toruński. — Medale pamiątkowe. — Opis medali. — Pochwała Polski.

Kraków, 17 sierpnia.

Działo się to dnia *18 lutego 1454 r.,* kiedy posłowie miast pruskich, na czele z *Janem Bażyńskim,* prosili króla *Kazimierza Jagiellończyka o przyłączenie ziem pruskich do Polski.* Bażyński kończył przemowę do króla słowami: *„W. K. Mość nie przywłaszcza sobie w ten sposób obcych posiadłości, lecz odzyskuje to, co poczęści podstępem, poczęści siłą krzyżacy Polsce zabrali".* Zaś *19 października r. 1466* nastąpiło podpisanie *traktatu toruńskiego* między *Kazimierzem Jagiellończykiem a mistrzem krzyżackim,* który to traktat przyznaje Polsce *„na wieczne czasy posiadanie ziemi pomorskiej, chełmińskiej i michałowskiej, wraz z miastem Malborgem, Elblągiem i biskupstwem warmińskiem",* z tem, że cały zakon krzyżacki, ich dzierżawcy, braoni i poddani zostają *wcieleni na zawsze do państwa polskiego,* tworząc odtąd *nierozdzielną całość; „Unum et indyviduum corpus". „Polska wtedy objęła w posiadanie całe dorzecze Wisły z miastami i Gdańskiem, uzyskując bezpośrednio związek z morzem".*

W dwa wieki potem miasto *Gdańsk, i w trzecie stulecie toż samo miasto i Toruń biły jubileuszowe medale,* przypominające męstwo mieszkańców Prus, *wypędzenie Niemców z ziem pruskich i wdzięczność narodu za błogosławione rządy polskie.*

Te *cztery medale,* to spiżowa pamiątka zrzucenia z siebie żelaznego jarzma Krzyżaków, w pamiętnej nocy 6 lutego 1454, monumentalne wyznanie dobrodziejstw, jakich naród ziem pruskich w ogóle, a miasto Gdańsk w szczególe doznały pod rządami polskiemi. Oto przyczyny *dobrowolnych oświadczeń,* przekazanych potomności w wiecznotrwałych pamiątkach.

Pierwszy medal biło miasto *Gdańsk* w r. 1654. *Dwa* drugie biło miasto *Toruń,* na pamiątkę *trzechsetletniego wydobycia się z pod tyrańskich rządów Teutonów.* Ostatni, największy medal miasto *Gdańsk* wybić rozkazało na tęż pamiątkę w 1754 r.

Oto opis pierwszego medalu: Strona główna: *Orzeł polski w koronie* unosi się w obłokach, trzymając w lewej łapie *berło;* nad orłem w promieniach, po hebrajsku imię *Jehowy,* pod orłem napis *Prussia.* Poniżej tego napisu drugi *orzeł,* jako *herb ziem pruskich,* stojący na podstawie, *z koroną* na szyi *i mieczem,* w górę wzniesionym. *(Korona* oznacza hołdownictwo Prus Polsce; *miecz,* powstanie ziem pruskich przeciw Krzyżakom). W dali widać równinę z miastami, pod podstawą orła krzyż rycerski i zgłoski I. H., oznaczające imię mincerza, *Jana Höhna.* W otoku napis łaciński brzmi po polsku. *„Męstwo Prusów wypędziło Krzyżaków — Boga i króla staraniem to piękne dzieło wzięte pod opiekę".*

Strona odwrotna: *Herb* miasta *Gdańska,* potem w 12-stu wierszach napis brzmi: *„Pamiątka miasta Gdańska. Pod błogiem panowaniem króla Kazimierza Jagiell. całe prawie Prusy od niegodziwego Krzyżaków tyrańskiego oswobodzone, pod panowaniem Jana Kaziemirza (Jagiellończyka) trzeci wiek zaczynającej się wolności swojej szczęśliwie roku 1654 (obchodzą)".*

Medal ten dnia 6 marca 1654 r., po uroczystej przemowie *Jana Piotra Titiusa,* prof. gimnazjum gdańskiego, rozdany był między *senatorów* i znaczniejszych *obywateli Gdańska* przez burmistrza gdańskiego, *Gerarda Bartsza.* Dziękczynną mowę kończył *Titius* słowami: *„O szczęśliwy monarcho, Kazimierzu Jagiellończyku, wyryłeś na zawsze, na wieki wdzięczną pamięć w sercach potomnych — Twoim orężem zgaszono płomień niszczących wojen — a cudem Boga stworzone niejako Prusy pod skrzydłami orlemi wśród spokoju mile wypoczywając i odradzając się, rany swe goić zaczęły".*

Drugi medal przedstawia widok *zamku Malborskiego,* z którego wyjeżdża 6 rycerzy, tym zastępuje herold, który, zsiadłszy z konia, wręcza im pismo. Napis w otoku (łaciński) po polsku brzmi: *„Pruskiego związku manifest doręczony przez herolda w Malborgu 6 lutego 1454.* Na odwrotnej stronie widok miasta *Torunia,* z palącym się zamkiem, w otoku napis mówi: *„Przed trzystu laty udręczony Toruń w nocy zrzuciwszy jarzmo, oswobodzony cieszy się wolnością".*

Trzeci medal ma takie same napisy, nieco tylko odmienny widok *Malborga, Torunia* i osób. Wybiło go miasto *Toruń, w trzechsetną rocznicę zniesienia jarzma Krzyżaków,* powodowane temi samemi uczuciami, co miasto Gdańsk, bijące jednocześnie następujący i największy medal.

Czwarty i największy medal przedstawia na stronie głównej miasto Gdańsk; na pierwszym planie orzeł Polski i orzeł ziem pruskich; dwa te orły łamią szponami krzyż kawalerów niemieckich. W otoku napis (łaciński) mówi: *„Krzyżacki krzyż dręczy Prusaków, Pruski i Polski orły takowy (krzyż) wyrzucają, król i szczęście publiczne panują".* Strona odwrotna — w 11 wierszach ma napis, pod którym *herb* miasta *Gdańska.* Napis brzmi: *„Pod opieką Bożą za Augusta trzeciego, króla polskiego, ojca ludów szczęśliwie panującego, Jubileusz gdański poświęcony pamiątce połączenia się Prus z Polską, za nadejściem dnia wcielenia (Prus do Polski) w środę popielcową, zaczynającą czwarte stulecie roku 1754".* W otoku zaś napis następujący: *„Prusko polskiego związku twórca Kazimierz, trzy wieki upłynione opiekunem czczą Augusta".*

Na tem kończymy opis medali, bitych w Gdańsku i Toruniu na pamiątkę zniesienia jarzma Krzyżaków, na pamiątkę poddania się dobrowolnego ziemi Pruskiej Polsce, pod której rządem nie musiało być tak źle Gdańszczanom, skoro tak kosztowne, bo złote i srebrne i z takiemi pochwałami dla Polski bili medale.

Z. K.

Medale z r. 1754 wybite przez m. Toruń na pamiątkę 300-lecia oswobodzenia Pomorza z podjarzma krzyżackiego, a przyłączenia do Polski.

Medal z r. 1754 wybity przez m. Gdańsk na pamiątkę 300-lecia oswobodzenia Pomorza wraz z Gdańskiem z pod jarzma krzyżackiego i ...lenia go do Polski po wieczne czasy.

Medal z r. 1654 wybity przez m. Gdańsk na pamiątkę 200-lecia wcielenia Pomorza wraz z m. Gdańskiem po wieczne czasy do Polski.

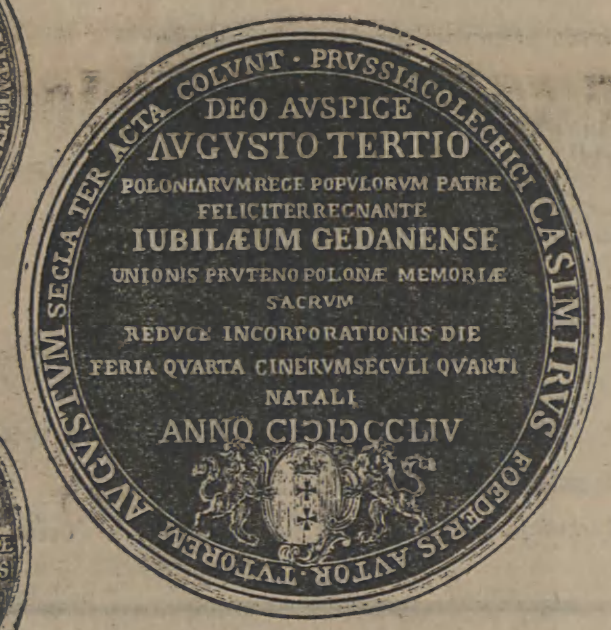

Odwrotna strona medalu z r. 1754, wybitego przez Gdańsk.

Mały feljeton.

KOBIETA ZAWSZE WIERNA

(BAJKA INDYJSKA).

...Mam nadzieję, że panie nie wezmą mi za złe tej małej historyjki, którą paniom opowiem, aczkolwiek jest ona nieco lekkomyślna. Dla uspokojenia jednak pań mogę dodać, że zdarzyła się ona w Indjach. W Europie — jak wiadomo — małżeństwo jest sakramentem i jeszcze nigdy dotąd u nas żadna żona nie dopuściła się zdrady małżeńskiej...

Otóż z tą historyjką rzecz się miała tak...

Był pewien mąż, imieniem Viradhara, który miał żonę imieniem Kamadamini. Ta ostatnia, było to młode, delikatne i wesołe stworzenie, podczas gdy jej małżonek Viradhara osiągnął właśnie ten wiek, o którym indyjska maksyma mówi: „stary osioł nie może już ciągnąć". To też pani Kamadamini uważała, że jest jeszcze dość młodych osłów, którzy bardzo chętnie będą ciągnęli jej mały wózek, jeżeli ona ich tylko do niego zaprzęgnąć zapragnie.

Kamadamini czyniła to i osiągnęła rozgłos, który doszedł nawet do uszu jej starego małżonka. Małżonek wpadł we wściekłość, gdy to usłyszał, zmilczał jednak i postanowił sobie wystawić swoją żoneczkę na próbę.

Pewnego dnia pan Viradhara rzekł do pani Kamadamini:

— Mój słodki gołąbek zechce mi przebaczyć, gdy go na parę dni zostawię samego, albowiem muszę jechać w dłuższą podróż za interesami.

Poczem Viradhara pocałował swoją żoneczkę w czoło i wyszedł z domu po to tylko,

---

nizował *Tow. Polskiej Sztuki Stosowanej,* Muzeum Polskiej Sztuki Ludowej i t. d. Powołany w r. 1904 na kierownika artystycznego drukarni Uniwersyteckiej w Krakowie, działał tam do r. 1915, poczem skoncentrował się na profesurze w Państwowej Szkole Przemysłu artystycznego w Krakowie, nie przestając nadal projektować ozdób książek, plakatów i t. d. Prof. Sinolik po raz pierwszy zestawił chronologicznie jego prace z lat 1887—1930, dał próbę ich charakterystyki, a nadto, niejako nadprogramowo umieścił w tem pięknem wydawnictwie rozprawkę o formie książki jako sprawie sztuki i krytyki artystycznej, drugą o książce polskiej w ostatniem ćwierćwieczu przed wojną światową, a jako trzecią bibljografję polskiej literatury, dotyczącej formy i zdobnictwa książki, drukarstwa i bibljofilstwa z ostatnich 25 lat. Ta różnorodna treść nie należy bezpośrednio do tematu tytułowego i ze stanowiska choćby tylko bibljograficznego można jej włączenie w tę książkę krytykować niemniej słusznie, jak autor krytykuje sprawozdania o zewnętrznej stronie książek. Ta obfitość materjału ilustracyjnego nie zawsze dała się pogodzić nietylko z estetyką, ale i czytelnością strony, ale ważniejszy był wzgląd na zbiór materjału, niż na jego rozmieszczenie bez zbytniego powiększania objętości książki, a raczej pół książki, pół albumu. Każdy miłośnik pięknych ilustracyj znajdzie w niej źródło wielu emocyj estetycznych, a przeczytanie tekstu pouczy go o niejednym szczególe z zakresu estetyki książki.

Jerzy Smoleński: WIELKOPOLSKA, Poznań, Wydawnictwo Polskie R. Wegnera, z licznemi ilustracjami.

Już przedwojenny *„Krajobraz polski",* w którym obok zawodowego geografa przychodził do głosu estetyk, powołujący się chętnie na świadectwo pejzażysty i belletrysty, zapowiadał w młodym podówczas uczonym pierwszorzędnego popularyzatora piękności ziemi polskiej. Rozwinął on tę działalność na wielką skalę po wojnie i dał szereg książek, opartych, jak wynika z natury przedmiotu, głównie na fotografjach, ale nie zaniedbanych i w tekście, przynoszący u w formie zwięzłej i barwnej wyniki dotychczasowych badań i poznań w danym zakresie. Po niedawnem *„Polskiem Morzu i Pomorzu"* otrzymujemy teraz książkę-album o *Wielkopolsce,* kolebce państwa polskiego. Choć dzieje zrobiły z niej kresy zachodnie, pozostała nadal najrdzenniejszą krainą polską, zachowała charakter godny swej prastarej tradycji i nabrała nowych wartości w zespole ziem polskich. Scharakteryzowawszy geograficzne położenie i ukształtowanie Poznańskiego, przedstawia autor pokolei część północną województwa (dolina Noteci), Kujawy z płytą gnieźnieńską, Poznań i jego okolice, wreszcie miasta i miasteczka nad granicą śląską, uwydatniając w każdej z tych pięciu części krainy wielkopolskiej piękności jej krajobrazu, znaczenie gospodarcze i kulturalne, jeśli dziś nie wszędzie widoczne, to dawniej żywe, jak tego dowodzą liczne pomniki architektury, a przedewszystkiem wspaniałe siedziby magnackie, pełne bezcennych skarbów sztuki i zbiorów naukowych. Może w pewnych partjach brak autopsji nie daje autorowi tej świeżości i nastrojowości, jaką odznaczają się np. prawie turystyczne opisy p. *Świątkowskiego,* ale wynagradza go szerokość horyzontów naukowych. Z takiej książki lepiej poznaje się daną okolicę niż z podróży, zwłaszcza pobieżnej.

NAUKA POLSKA, T. XII, suplement do t. VII, Warszawa, Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego.

Już przed trzema laty wydała *Kasa Mianowskiego „Materjały do spisu instytucyj i towarzystw naukowych w Polsce";* obecnie uzupełnia je przeglądem archiwów, muzeów i bibljotek w Polsce, a nadto informuje o organizacji i celach towarzystw i instytucyj naukowych, notuje zmiany z ostatniego trójlecia, ubytki i przybytki. Jeśli wydawcy sądzą, że taki spis statutów rozmaitych towarzystw „daje obraz prężności organizacyjnej naszej nauki w ostatnich trzech latach oraz żywego jej tętna zarówno w dziedzinach teoretycznych jak praktycznych", to może oddają się zbytniemu optymizmowi, skoro większość Towarzystw może się wykazać tylko firmą i statutem, ale ostatecznie ten optymizm jest nieszkodliwy, bo i nieliczni wybrani z pośród wielu wezwanych przychodzą do głosu. Dla badacza naukowego, szukającego materjałów i informatorów w pewnej specjalności, oba te tomy materjałów są bardzo ważne. Ale i laika zaciekawi np. taka wiadomość, że w *Wiśniewie pod Warszawą* istnieje *„Bibljoteka Komunologiczna",* obejmująca 3.594 dzieła i broszury komunistyczne, 69 pełnych roczników prasy bolszewickiej, około 400 plakatów propagandowych, przeszło 2.000 zdjęć fotograficznych z Rosji bolszewickiej, rękopisy komunistyczne (autograf Lenina), 1.050 diapozytywów, płyty gramofonowe z mowami najwybitniejszych działaczy bolszewickich... Bibljoteka ta jest tworem *ks. A. W. Kwiatkowskiego,* który materjał na nią gromadził od r. 1918 w Charkowie, od r. 1921 w Moskwie, a w r. 1924 przewiózł go do Polski, gdzie się go stale uzupełnia. Korzystać z niego można na podstawie katalogu inwentarzowego-kartkowego, rzeczowego... „Bibljoteka jest przeznaczona do studjów nad doktrynami społecznemi, szczególniej nad bolszewizmem, komunizmem i socjalizmem". O frekwencji notatka milczy, a tak chciałoby się wiedzieć, czy sympatycy bolszewizmu, zamiast się narażać na sprowadzanie nielegalnej bibuły, nie zwracają się wprost do źródła i nie wysłuchują z płyt mów agitatorów bolszewickich, nie czytają ich najdzikszych przemówień i t. p. Albo czyż metapsychików nie zajmie wiadomość, że Warszawa prócz Polskiego Stowarzyszenia Metapsychicznego im. Ochorowicza ma także P. Tow. Astrologiczne i Tow. studjów okultystycznych (ul. Puławska 37), albo innych — wiadomość, że Ukraińskie Tow wojenno-historyczne ma siedzibę — w *Kaliszu* i wydaje organ: *Za Derżawniść?*

R

aby drogą okrężną potajemnie powrócić, wejść przez okno do pokoju swej małżonki i tam skryć się pod łóżkiem.

Rzecz oczywista, że zaledwie Viradhara opuścił dom, pani Kamadamini przystąpiła do jak najpiękniejszego ozdobienia swej osóbki. Następnie upiekła smaczne ciasto na świeżem maśle z najlepszej mąki i wysłała swoją służącą z zaproszeniem do pewnego młodego pana, który już poprzednio często ciągnął jej mały wózek. Młody pan zjawił się wkrótce, także z wieloma smakołykami; młoda para sprawiła sobie ucztę, a następnie udała się do pokoju i na łoże młodej pani.

Wchodząc na łoże, Kamadamini przypadkiem dotknęła nogą swego małżonka, który to leżał ukryty pod łóżkiem, aby ją wystawić na próbę. Mądra, jak kobiety są mądre we wszystkich złych rzeczach — oczywiście w Indjach — Kamadamini zmiarkowała natychmiast, kto tam leży i o co tutaj idzie. To też, gdy tylko kochanek wyciągnął ramiona, aby wziąć ją w objęcia, Kamadamini odepchnęła go i powiedziała:

— Pan się zapomina — niech się pan nie waży mnie dotykać!

Młody pan zdziwiony i oburzony zapytał z przekąsem:

— Bardzo panią przepraszam, ale w takim razie może pani zechce dać wyjaśnienie — dlaczego właśnie po mnie pani była łaskawa posłać?

— Wyjaśnię to panu chętnie — odparła Kamadamini. — Dzisiaj rano przed wschodem słońca udałam się do świątyni dobrej bogini Kandika. Modląc się tam, usłyszałam nagle głos: „Nieszczęsna, w ciągu trzech miesięcy zostaniesz wdową" Przeraziłam się do głębi i ścisnęło mi się serce, albowiem kocham mego męża nad wszystko w świecie — więcej, niż swoje własne życie i niż swoją cześć! Zaczęłam się modlić: „O bogini, daj mi sposób, abym mogła mego męża uratować od tego wyroku!" Głos bogini odpowiedział mi: „Dobrze, dam ci taki środek: musisz znaleźć się w objęciach obcego mężczyzny — wtedy śmierć przeznaczona dla twego małżonka, przejdzie na niego, małżonek zaś twój będzie żył sto lat"... Teraz już wiecie, dobry panie, że zaledwie pozwoliłabym wam siebie objąć, gdy śmierć z wyroku bogini Kandika spotka pana niewątpliwie.

Przy tych słowach na twarzy młodego człowieka pojawił się uśmiech, albowiem zaczynał on rozumieć młodą panią; tymczasem zaś małżonek w swojem ukryciu pod łożem przewracał się, jak kocur, którego głaszczą pod włos. To też młody pan odpowiedział:

— Najchętniej przyjmę na siebie śmierć po tem, gdy panią będę mógł objąć — i oboje młodzi obejmowali się i całowali, podczas gdy małżonek pod łóżkiem wylewał łzy rozczulenia nad ofiarą, którą jego małżonka ponosiła z miłości dla niego.

Gdy wreszcie młody człowiek opuścił łoże i skierował się ku wyjściu, małżonek również natychmiast opuścił swoje schronienie pod łóżkiem. Ze łzami jeszcze na rzęsach chwycił on w objęcia młodzieńca, który zrobił minę w najwyższym stopniu przestraszoną i zawołał:

— O wybawicielu mego żywota! Jestem twoim najwierniejszym przyjacielem aż do chwili nieuniknionego twego zgonu! — Następnie Viradhara ucałował swoją małżonkę i powiedział:

— Jesteś najwierniejszą żoną, jaką można znaleźć na ziemi, bądź błogosławiona...

Tutaj, moje panie, historyjka moja ma się ku końcowi i dodam tylko jeszcze raz, aby uniknąć wszelkich niemiłych nieporozumień, że tak niewierne żony, tak lekkomyślni młodzieńcy i tak zaślepieni starzy mężowie znajdują się naturalnie tylko w Indjach.

KLABUND *)

Przełożył *St. M.*

*) Niedawno zmarły, znany poeta liryczny niemiecki Klabund napisał także kilka utworów prozą (powieść „Piotr Wielki"), a pomiędzy niemi krótkie nowelki. Jedną z nich podajemy wyżej w przekładzie.

LEONARD KOCIEMSKI.

Wśród grobowców etruskich w Tarkwinji.

Ruiny miasta etruskiego. — Nekropolja etruska. — Kultura i sztuka etruska

Rzym w sierpniu.

Lazurowe płaszczyzny morza gubią się w przestrzeni, a jedynie przy płaskiem pobrzeżu fale, bijące o szarawe ławice piasku, obrębiają kończącą się powierzchnię koronkami srebrzystych pian. Potem od brzegu, aż do stóp wzgórza, na którem stoję, rozciąga się szachownica pól i łąk, gra zieleni i złota: zieleni traw nie zżartych jeszcze posuchą letnią i złota ściernisk nie porosłych dotąd trawą.

Stoję na wzgórzu, zwanem *„La Turchina"*, na którem ongi szesnaście wieków przed Chr. syn króla Lidji, *Tarkont* — jak opowiada *Plinjusz*, powtarzając legendę uporczywie przez wieki trwającą — dał początek *pelasgijskiej Tarkwinji*, wznosząc *obronne miasto obronne*, przyszłą siedzibę najpotężniejszej z wielkich *lukumonji etruskich*. Przed chwilą, przedzierając się przez gęstwę traw, szeleszczących cmentarnie i krzewów ciernistych, przytrzymujących znienacka przechodnia, jak żywe ręce pogrzebanych w pobliskiej *nekropolji Etrusków*, przekroczyłem ledwo widoczne ślady jednej z *siedmiu bram*, wiodących do miasta. Tu i owdzie widnieją *szczątki kolumn, ślady domostw*, ślady *uliczek i zaułków*, szczątki potężnych *murów*, okalających ongi, trzydzieści sześć wieków temu, pelasgijską Tarkwinję, przeistoczoną później *w rzymskie miasto*, a wreszcie zniweczoną podczas *najazdu Gotów* a później i *Saracenów* w pierwszych wiekach naszej ery.

Z boku, na pobliskiem wzgórzu, wznosi się *nowa Tarkwinja*, powstała ledwo piętnaście wieków temu, dumna ze swych niezliczonych *wież średniowiecznych* i prześlicznych zaiste *pałaców* z końca *średniowiecza* i najbujniejszego okresu *Odrodzenia* (jak np. pałac *dei Priori* z 1250 r. i pałac *Vitelleschi* z 1440 r.). Za jedną z dzwonic gotyckich dostrzegam zębate bastjony *zamczyska*, należącego ongi, według tradycji, do słynnej hrabiny *Matyldy Toskańskiej* pani na *Kanossie* i aljantki znakomitego papieża *Grzegorza Wielkiego*. Tam znowu mury *katedry* mówią o czasach *baroku*, a w dole, nad brzegiem morza, wznosi się *antena stacji radjowej* i na szarej wstędze drogi, którą ongi Rzym republikański wytyczał *(via Aurelia)* widać biegnące szybko *automobile*.

O wiorstę ledwo, gdzie płaskowzgórze faluje przed oczyma szeregiem *kopców*, rozciąga się jedna z największych *nekropolji etruskich*, której *grobowce* zazdrośnie kryją największą czasów naszych *zagadkę*. W istocie, nauka współczesna niewiele tylko może nam powiedzieć *o życiu Etrusków*, których *język*, pomimo szeregu studjów niestrudzenie prowadzonych przez najwybitniejszych filologów świata, pozostał dla nas *tajemnicą*. Jedynym promieniem światła, rzuconym w pomrok tej tajemnicy, jest *sztuka Etrusków*, wyjawiająca

Malowidła ścienne w grobowcach etruskich pod Tarkwinją, a pochodzących z VI w. przed Chr. Pierwsze przedstawia człowieka skaczącego ze skały do morza, drugie łowienie ryb zapomocą harpuna i polowanie na ptaki zapomocą procy.

Malowidło ścienne w grobowcu etruskim pod Tarkwinją, pochodzące z IV. w. przed Chr.

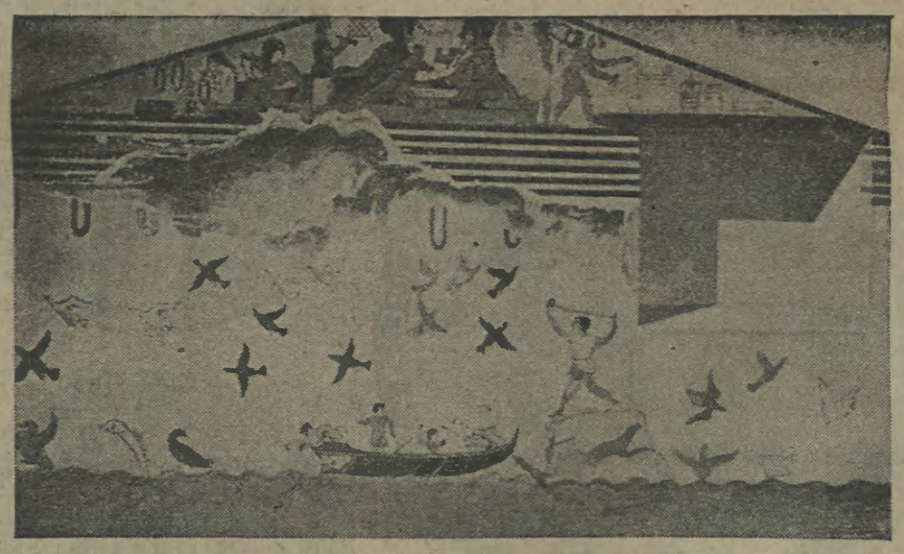

Uczta (u góry), rybacy na morzu (u dołu). Malowidła na ścianach grobowców etruskich pod Tarkwinją, pochodzących z VI. w. przed Chr.

EMIL HENNER

Saltomortale Juljusza Laforgue.

W 70-tą rocznicę urodzin twórcy „Legendarnych moralności". (1860—1930).

Do wysokości wzlatał tych,
Że innych skoczków witał śmiech,
Gdy próżno wkrąg prężyli siły.
Zniechęcał ich, tracili hart,
Mruczeli gniewnie: „Chyba czart"
Żywem mu srebrem drgają żyły".
Banville - Miriam: „Skok z trampoliny".

Orkiestra szablonów zamilkła. Znieruchomieli nawet przekupnie, roznoszący liryczne, sezonowe łakocie pośród kręgów amfiteatru. Bowiem tam, na zawrotnej wysokości, pod samą kopułą Cyrku, lśniło coś chwilami i migotało i wirowało, jak wielki, tęczowy motyl, to znowu krążyło z niewypowiedzianie rozkoszną zgrabnością jakby wiewiórki. W miarę jednak jak wolniał świetlisty kołowrot, udało się niektórym lornetowym soczewkom, wycelowanym w górę z loży znawców, ustalić właściwą istotę zjawiska. Był niem — *księżycowy żongler*, który zaostrzał tęgość swego rekordu przez to, iż igrał na swych trapezach z iście francuską lekkością brzemieniem pesymistycznych, germańskich metafizyk *Schopenhauera* i *Hartmanna*...

Bez siatki bezpieczeństwa, nie należąc właściwie jakby do programu, sprezentował dziewiętnastoletni zaledwie *Juljusz Laforgue* swoje *saltomortale* znudzonej, ziewającej Europie.

Nie od razu osiągnął to majsterstwo w metafizycznym, lirycznym woltyżu.

Długo musiał się wprawiać w straszliwym treningu, aby błysnąć jaśnieniem tanecznego rozigrania. Musiała kiedyś, pośród nieprzejrzanych bezsennych nocy, spędzonych w paryskiej mansardzie nędzarza — musiała znaleźć się taka jedna przeraźliwa chwila, w której w mózgu *Laforgue'a* począł jarzyć się płomyk rozmyślań na temat druzgocącego tragizmu świadomości ludzkiej, zawisłej nad otchłaniami Nieznanego. Nie dały już za wygraną żarłoczne zęby *Laforgue'a*, wgryzłszy się raz w miąższ zagadnienia. Można było albo oszaleć podczas tych żarliwych wigilij, albo też, poczuwszy w sobie iskrę szatańskiej woli, stać się apostołem jedynego obrządku, wiodącego do wyzwolenia ze złudzeń, z Czasu, Przestrzeni i Liczby, prowadzącego do masowego, materjalnego lub intelektualnego samobójstwa: do — *Nirwany*. Z jej to litanją na zbielałych wargach przedziera się *Laforgue* poprzez gęstwiny, objęte huczącemi pożarami życia, zdając sobie przytem doskonale sprawę z beznadziejności swego misjonarstwa. I tak zbliża się przecież koniec Tej, co:

w nieskończoności mnóstwem usianej
splendorów
zgubiona niby atom, samotna, nieznana,
przez kilka policzonych dni była nazwana
Ziemią...

(Przeł. St. Godlewski).

Niechaj więc dowlecze się do końca to marne, ach, jakże dyletanckie divertissement komarów, zwane patetycznie światem. Wszakże wnet kosmiczne cyklony rozniosą na nice ten nadęty glob, stoczony trądem, rozpylą go na miał atomów w obszarach Nieskończoności...

...Patrzał Laforgue z wyżyn swej trampoliny na to liche widowisko i wstrząsał nim spazm życiowego czarnowidztwa po ostatnie włókno jestestwa. Rzucał się w owych chwilach rozpaczliwie z trapezu na trapez, zawisając na pograniczu woli do życia i głębokiego umiłowania nicości. Zaiste, wściekły kołowrót! Aż wreszcie, w pewnym momencie, zapierającym oddechy, runął wspaniały Hecarz, tracąc równowagę, pociągnięty siłą ciężkości witalnego instynktu, w dół, na życiową arenę.

„Cudowny klown, wierzajcie mi...". Strzepnął bowiem tylko piasek ze swego kostjumu Pierrota i wyszedł z brawurą na świat, na bitą drogę sceptyzmu, zdobytego za cenę najserdeczniejszej, duchowej męki. Wszystko wokół padało, ścinane bezlitośnie szpicrutami jego spojrzeń. Przezwyciężywszy romantyczny sentymentalizm, dążył teraz *Laforgue*, co tylko tchu w suchotniczych płucach, na spotkanie wielkiej, wyzwalającej Ironji, on, nieubłagany, „rzeczowy" obserwator, mistrz, jakże dawno *avant la lettre*, kierunku, rządzącego dziś przemożnie nietylko we Francji. Skala możliwości, do jakich byłby doprowadził *Laforgue*, gdyby był dłużej żył, daje się wyczuć z jego przedśmiertnych listów. Było w tem to, o czem tak marzyli *Goncourt'*owie: *„apporter du neuf"*, wnieść tchnienie *Nowości* do literatury... *Laforgue* włóczył się po bulwarach Nieświadomego krokiem bywalca, czującego w portfelu passe-partout dla wszystkich zakulisowych wejść i wyjść naszego ziemskiego istnienia. Stylowy *dilettante* we wszystkiem, po najdrobniejszy rys swej ogolonej, jakby anglosaskiej fizjognomji, nudził się, palił jasne papierosy, komponował wiersze i prozy, pracował trochę nad akwafortą i wyczekiwał — śmierci:

O tak, ten świat jest płaski. Tamten drugi?
Bzdury.
Czekam śmierci bez wiary w przyszłe, lepsze
losy.
A dla zabicia czasu bogom prosto w nosy
Z wybornych papierosów puszczam dymu
chmury.

(Tł. St. Godlewski).

Nie długo czekał. *„Porwała Go śmierć w 27-ym roku życia"* — notowały żałobne stereotypy. Czy aby na pewne — porwała? A może odchodził stąd, nie żywiąc zbytniego żalu? Przecież

„Z dniem każdym gorsze konjunktury.
Gdzie bogi? same łby ucięte...
Zrobiłem swoje: zwracam piętę
W kraj wszechpojemnej Synekury".

(Tł. Cz. J. Kozłowski).

* * *

Odkrywca „wolnego wiersza", lektor — bywają paradoksy! — niemieckiej cesarzowej, *Augusty*, bałwochwalca asonansu w czasach, w których szalała nagminnie epidemja rymu, krytyk i znawca Sztuki, jakich niewielu — posiada Laforgue na światowej łące poetyckich odcieni swoją własną niezapomnianie uroczą niuansę. Próbowano ją przeszczepić w rozmaitych lirycznych ogrodach: u nas laforgizowali *Mirandola* i *Słonimski*. *) Naogół jednak osierocone są trapezy, na których królował piewca *Pana i Syryngi*. Któż potrafi bowiem wprawić je w ruch z takiem zdumiewającem mistrzostwem, jak to umiał czynić *„metafizyczny skoczek"*, *Juljusz Laforgue*?

*) Z bibljografji przekładów: *„Hamlet czyli następstwa miłości dziecięcej"*, (Życie, 1899, tł. St Lack). — *„Perseusz i Audromeda"* (Chimera, t. VI., tł. M. Komornicka). Liryki *Laforgue'a* tłumaczyli: *Fr. Mirandola, Cz. J. Kozłowski, St. Godlewski.*

nam do jakiego stopnia doskonałą i wysoką była kultura tego narodu, który dał podłoże cywilizacyjne Rzymowi i którego, przez cywilizację rzymską, jesteśmy dłużnikami.

Ludzkość nie lubi tajemnic. Toteż w oczekiwaniu nowego *Champolliona*, któremu dane będzie odczytanie napisów etruskich, archeologowie gromadzą starannie *materjał dokumentacyjny*, pozwalający na odgadnięcie raczej niż zrozumienie historji enigmatycznego narodu. W tym zakresie *Tarkwinja* jest bezcennym wprost złożem, dzięki swej rozległej nekropolji. Z niewiadomych powodów od 40 prawie lat wykopaliska w Tarkwinji zamarły i aczkolwiek olbrzymią ilość wznoszących się kopców dobitnie świadczy o istnieniu grobowisk, jedynie tu i owdzie, często nawet potajemnie dla celów zysku, z inicjatywy *prywatnej* i rękoma *nie fachowemi*, odnajduje się nowe grobowce. Rząd, zda się, oczekuje lepszych czasów.

A jednak odkopane przed sześćdziesięciu, pięćdziesięciu i czterdziestu laty grobowce otwarte dla publiczności wskazują, bogactwem *malowideł ściennych* i *sarkofagów*, na konieczność *metodycznych* poszukiwań na przestrzeni całej nekropolji. Zwłaszcza, iż w Tarkwinji zazębia się widocznie cywilizacja *etruska* i *rzymska* i kto wie, czy nie udałoby się znaleźć właśnie tutaj klucza do rozwiązania zagadki, napisów ściennych dwujęzycznych: *etrusko-łacińskich*. Potwierdzeniem tego przypuszczenia mogą być grobowce dotąd znane, w których, obok sarkofagów etruskich i malowideł ściennych z VI i V wieku przed Chr., znajdują się malowidła i sarkofagi wybitnie *rzymskie* lub *etrusko-rzymskie* z III i II wieku przed Chr.

Tarkwinja podbita przez Rzymian w 280 r. przed Chr. dzięki zwycięstwom *Tyberjusza Koruncjusza* zamarła, jako lukomonja etruska, opierająca się nieraz zwycięsko zapędom rzymskich legjonów, lecz cywilizacja etruska miasta, tak jak i innych *(Vejo, Orvieto, Viterbo, Chiusi* i t. d.) przetrwała przez długie jeszcze wieki, skoro nam historja mówi, że cesarz *Juljan* sprowadzał do Rzymu *kapłanów etruskich (aruspici etruschi)*, aby wróżby czynili. A przecież wiadomo, że Rzymianie, w pierwszej epoce egzystencji ich państwa, zaczerpnęli z Etrurji nawet *podstawy pogańskiej religji*.

Wgrążmy się w zagadkę etruską i, zstępując po stopniach *schodów*, wiodących nieraz *jedenaście metrów pod ziemię do grobowców*, odrzucając koncepcję obcą ich duchem. Nie jest to sztuka, wzór niewolniczo naśladująca. W okresie największego wpływu sztuki *greckiej* w V w. przed Chr., artysta etruski nie przejmuje z pierwowzorów wydelikaconej harmonji kształtów, nie wypieszcza linji, nie stara się o stylizację przemyślaną i wyłącznie mózgową, daje on raczej to, co oko dostrzega, jest *realistą* i hołduje *realizmowi* we wszystkiem, porwany uwielbieniem dla ruchu w najdrobniejszych jego przejawach.

Ściany grobowców przepełnione są figurami *mężczyzn, kobiet, dzieci, zwierząt, ptaków* oraz *ozdobami;* freski uwydatniają *typ etruski*, którego echa możemy odnaleźć jeszcze dziś na terenie dawnej Etrurji w małych góralskich miasteczkach, zwłaszcza wśród *kobiet*. Nie są to wyłącznie hieratyczne postacie skamieniałe w geście solennym, są tam biegacze, tancerki, muzykanci, służebnicy i służebne, pięściarze, wojownicy, kapłani, a każdy z nich ma swoisty ruch ujawniony. Ryby, ptaki i zwierzęta naszkicowane w najróżnorodniejszych pozycjach.

Od fresków *archaicznych* przechodzimy poprzez przemiany do coraz większego zharmonizowania całości w stosunku do szczegółów, twarze pod wpływem artystów greckich tracą nużącą jednostajność wyrazu, aczkolwiek figura i kompozycja wogóle nie tracą odrębności oryginalnej. Efekty plastyczne mnożą się, a całość uszlachetnia się coraz bardziej, aż dochodzimy do *złotego wieku malarstwa etruskiego*.

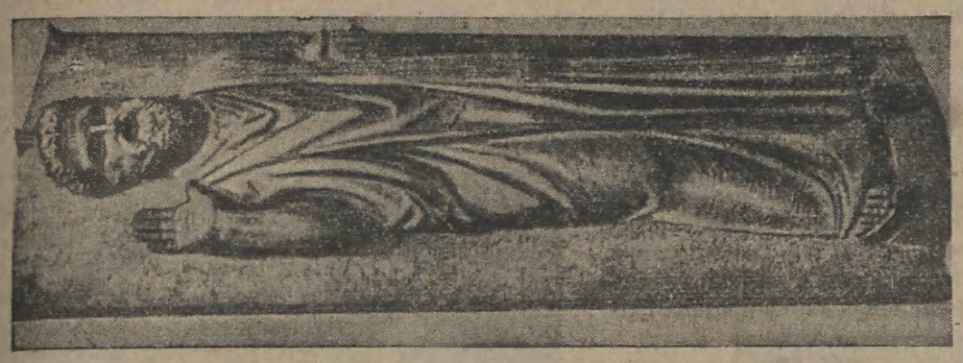

Wypuklorzeźba z sarkofagu przedstawiająca kapłana, a pochodząca z grobowca etruskiego pod Tarkwinją.

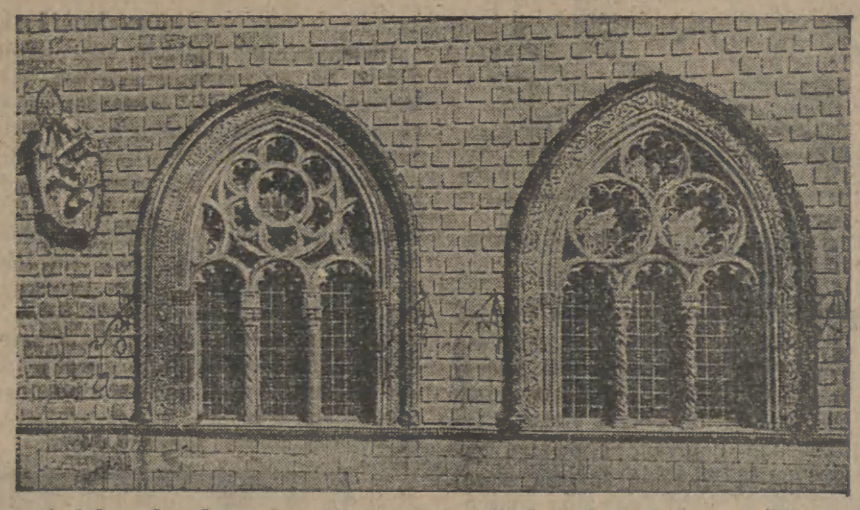

Ozdobne okna I p. pałacu Vitelleschich w Tarkwinji, pochodzące z XV w.

Kącik rolniczy.

Czyszczenie ziarna do siewu.

Kraków, 17 sierpnia.

Chwasty, ten najgroźniejszy nieprzyjaciel rolnika, żyjący kosztem jego pracy, nigdzie nie doznają takiej opieki jak na *polach włościan*. — Pola żółcą się od *łopuchu* i *ognichy*, a zboża stroi *mak, grochal* i *wyczki* tak obficie, że nieraz niewiadomo, która właściwie z tych roślin jest tam na swojem miejscu, a które są nieproszonemi gośćmi.

Aby nasiona chwastów nie dostały się wraz z siewem do roli, należy *zboża czyścić* jak najstaranniej, nie szczędząc na to czasu i pracy. Po wymłóceniu zboża oddzielamy przedewszystkiem *ziarno* od *plew, kłosów* i *zgonin*, poczem staramy się rozdzielić je według *wielkości, ciężaru*, lub *kształtu* ziarna.

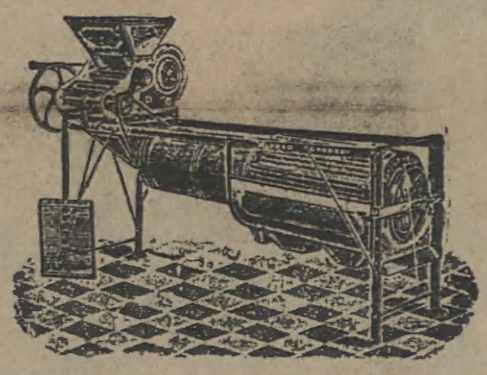

Tryjer o podwójnem działaniu; aparat do czyszczenia zboża z nasion chwastów i plew.

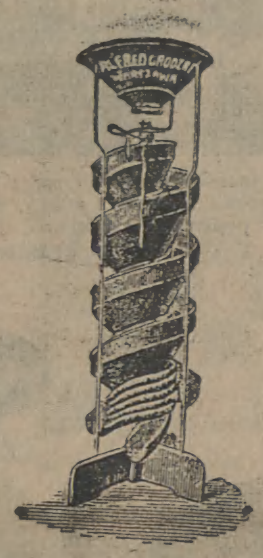

T. zw. żmijka, przyrząd do czyszczenia zboża z nasion chwastów i plew.

Blacha tryjerowa z wgłębieniami frezowanemi, u dołu w przekroju pionowem, aparatu do czyszczenia zboża.

Dawniej było ogólnie przyjętem posługiwanie się siłą wiatru ku temu celowi. Właściciel paru morgów, który nie ma za co kupić sobie innych przyrządów do czyszczenia, staje z *sitem* na przewiewnem miejscu, a puszczając ziarno cienkim strumieniem z sita, oddziela przy pomocy wiatru części lekkie od ziarna celnego.

W końcu przesiewa się jeszcze zboże na *sitach*, posiadających otworki najrozmaitszej wielkości, stosownie do gatunku zboża, jakie czyścić zamierzamy.

Przy przesiewaniu usuwa się piasek z ziarna, chwasty, nasiona drobne, przechodzące przez otwory sit, oprócz tego usuwa się jeszcze kawałki słomy i t. p. Ostatnie te domieszki wskutek właściwego poruszenia sita, *skrążeniem* zwanego, zbierają się na powierzchni ziarna prawie w samym środku sita, skąd zbiera się je od czasu do czasu ręką. W zbożu powyższy sposób oczyszczonem znajduje się jeszcze wiele zanieszyszczeń, których oddzielanie wymaga przyrządów więcej złożonych. — Robota idzie przytem niesporo, dlatego w lepszych gospodarstwach używane bywają do czyszczenia różne maszyny jak: *wialnie, młynki, tryjery, żmijki* i t. d.

WANDA WYHOWSKA (Rzym).

Współczesna literatura amerykańska.

Stowarzyszenie włosko-amerykańskie w Rzymie miało zaszczyt gościć u siebie *F. P. Rice'a*, prof. uniw. nowojorskiego i tytularnego fundacji Westinghouse.

Profesor *F. P. Rice* dał cykl odczytów z dziedziny *literatury amerykańskiej*, oraz udzielał wywiadów zainteresowanym.

Zdaniem prof. Rice'a niełatwo jest określić, jakie prądy można uznać za reprezentujące istotne oblicze współczesnej literatury. Przyczyny tej trudności — wspólne zresztą wszystkim krajom świata — są bardziej skomplikowane w Stanach Zjednoczonych, państwie o młodej kulturze, gdzie nakłady dochodzą do liczb astronomicznych. W każdym razie można wyszczególnić kilka wybitnych nazwisk, które, według ogólnej opinji sfer kulturalnych, przedstawiają najlepiej *myśl i kulturę amerykańską w dziedzinie liryki, powieści i teatru.*

Dzisiejsza *liryka amerykańska* idzie wyraźnie w dwu kierunkach: jeden stara się zachować formę i natchnienie *klasyczne*, drugi, znacznie wyraźniejszy, przyjął swobodniejsze formy metryczne i czerpie tematy *z historji Ameryki* i współczesnego *codziennego życia*.

Poeci wykazują tendencję stworzenia poezji, opartej na motywach lokalnych, czysto amerykańskich. *Karl Sandburg* i *Vachel Lindsay*, którzy, choć należą do pokolenia poprzedzającego pokolenie dzisiejsze, zajmują ważne stanowisko w liryce amerykańskiej, dając miejsce zupełnie nowoczesnym motywom. *„Kongo"*, poemat *Lindsaya*, czerpie z muzyki i tańców murzyńskich. Najważniejszym elementem tego poematu jest *rytm*, który chwilami przechodzi w harmonję naśladowczą.

Edwin Arlington Robinson zajmuje dziś pierwsze miejsce w poezji Ameryki. Język jego jest piękny, styl oryginalny, choć czasem niedbały i nerwowy.

Najlepsze jego poematy: *„Merlin"* i *„Lancelot"* nie są z pod znaku poezji zupełnie nowoczesnej. Głównemi ich pierwiastkami są: poszukiwanie światła duchowego, bunt przeciw ciasnocie i surowości purytańskich ideałów.

Robert Frost, drugi wybitny poeta, rozprowadza w swojej poezji *myśli realistyczne, neoplatońskie*, które wyrażają się w formie zupełnie nowej, nieoczekiwanej.

Wśród piszących kobiet *Edna St. Vincent Millay* należy do grupy tych, którzy przez pryzmat współczesności oglądają świat klasyczny. *Stephen Vincent Bennet* jest najnowszą rewelacją. Jego *powieść* wierszem *„John Brown's Body"* zdobyła ogromne powodzenie wśród krytyki i wśród rzesz publiczności.

Powieściopisarzem amerykańskim, najbardziej w Europie rozpowszechnionym, jest *London*. W opinji Europy jest on reprezentantem nowoczesnego życia amerykańskiego. Niema nic fałszywego nad to przekonanie. Ten rodzaj powieści należy już dziś do przebrzmiałych, tak, jak zniknął już rodzaj umysłowości, który w samych tylko przygodach znajdował zaspokojenie swoich dążeń. Dziś *pierwiastek naukowy* tak dalece przeniknął opinję publiczną w Ameryce, że uwielbiane są tylko takie czyny, które, pozostając awanturniczemi, mają za cel postęp: *Lindbergh i Byrd* są tu typowymi przykładami.

Można tu wymienić trzy powieści, które najlepiej reprezentują dzisiejszą myśl amerykańską. Pierwsza jest to *„Babbitt" Sinclair'a Lewis'a*, rozsprzedana z nieprawdopodobną szybkością. *Powieść humorystyczna*, o tendencji realistycznej, bierze w obroty bogatego jegomościa z prowincji, którego nie obchodzi nic poza tem, co się tyczy jego interesów.

Drugą powieścią jest „Moja Antonia", napisana przez Nille Cather, autorkę obdarzoną niezwykłą wrażliwością. Opisuje ona losy imigranta-wieśniaka. Wdzięk stylu, opowiadanie pogodne, potężne odczucie natury czynią tę książkę najpowabniejszą wśród innych, świetnych powieści autorki.

Ostatnią rewelacją powieściową jest *„Most San Luis Rey" Thornton'a Wilder* (na którego tle osnuto piękny film z *Lily Damitą*). Pozycja to szczególnie ważna, ponieważ przedstawia ciekawą tendencję współczesnych autorów Nowego Świata. Powieść cała jest przepojona *idealizmem*, światłem prawie *mistycznem*.

Składa się ona z serji epizodów, pozornie niezwiązanych, ale żywych i malowniczych, których akcja toczy się w wieku XVII. Filozoficzne dygresje, mistycyzm, ironja nadają dziwny charakter tej niezwykłej książce. Przeciwstawić ją można powieści bezpośredniej, nowoczesnej w formie i natchnieniu, ironicznej, o podstawie *społecznej*, której daje wyraz *Sinclair Lewis w „Babbits"*.

Obok tych trzech autorów rysuje się subtelny ironista *James Branch Cabell*, który z upodobaniem przenosi się w dobę *średniowiecza* by na tle legend i sfingowanych wypadków dać upust swej *ironicznej* Muzie. J. B. Cabell'a oskarża opinja amerykańska o *frywolność* i *amoralizm*. Niepodobna przemilczeć *Teodora Dreisera*, którego *„Tragedja amerykańska"* daje jedną z najlepszych analiz społeczeństwa amerykańskiego. Dreiser — którego życie obfituje w wiele sensacyjnych szczegółów — znajduje się dziś w pełni sił twórczych. Obok występuje znakomity prozaik *Ernest Hemingway*, autor *powieści „Fiesta"* i *„Pożegnanie z bronią"*, który wdziękiem swego stylu i dosadnością przypomina niekiedy *P. Moranda* (pisał o Hemingway'u dr. *Z. Grabowski* w artykule *„Pogłosy wojny"* oraz *J. Iwaszkiewicz* w *„Wiad. liter."*). Wreszcie nader obiecujący talent: *Carl von Vechten*, i uroczy *Michael Arlen*.

Kilka słów o *teatrze: Eugenjusz O'Neil* jest dalej główną postacią amerykańskiego teatru. Dzieło jego dokonało prawdziwego przewrotu w Ameryce i poza jej granicami. *„Beyond the Horizon"*, *„The Emperor Jones"*, *„Hairy Ape"* posiadają już wielką sławę. Dwie rzeczy najnowsze są niemniej ciekawe: *„The strange Interlude"*, dramat o niezwykłym rozgłosie; *„The Great God Brown"* wystawiony niedawno w teatrze „eksperymentalnym" włoskiego reżysera *Bragalji*. Wszystkie dzieła O'Neila są dalekie od prymitywności, choć mają w sobie brutalną siłę. Przez swe ostatnie utwory staje O'Neil jako jeden z najciekawszych dramaturgów obok *Pirandella* i *Jewreinowa*.

Po tym ogólnym przeglądzie rodzajów literackich, najżywotniejszych w Ameryce, skreślonym tylko w paru głównych linjach, dodamy parę uwag o *literaturze europejskiej na terenie Stanów Zjednoczonych*.

Pierwsze miejsce zajmuje stale literatura *angielska: Galsworthy, Shaw, Conrad, Barrie* są najbardziej rozpowszechnieni. Wspólny język i fakt, że wydawnictwa angielskie, mają pierwszorzędnie zorganizowane filje w centrach amerykańskich ułatwiają coraz lepsze poznawanie wszystkiego, co produkuje Anglja.

Na drugiem miejscu stoi literatura *francuska: Proust, Gide, Remy de Gourmont* są bardzo czytani w języku francuskim i w znakomitych tłomaczeniach.

Zainteresowanie się *Italją* wzrasta z dnia na dzień. *„Dzieje Chrystusa" Papiniego* są czytane z zainteresowaniem, także *Pirandello* i *Panzini*. *„Italy-America Society"* w New-Yorku przyczynia się wiele do zbliżenia obu cywilizacyj.

Z literatury niemieckiej czytani są: *Mann, Schnitzler* a dyskutowani żywo: *Keyserling*, który napisał książkę *„America set free"* oraz *Spengler;* z literatury *czeskiej* zdobył sobie rozgłos *Karol Czapek*.

Tak się przedstawia znajomość literatur obcych w Ameryce: literatura polska nie zasłużyła sobie nawet na wzmiankę profesora Rice'a: dziwne to jest wobec tego, że element polski jest w Ameryce liczny i silny, a pamięć Kościuszki i Pułaskiego jeszcze żywotna. Dziwne tembardziej, że istnieją tłumaczenia angielskie dzieł Sienkiewicza i „Chłopów" Reymonta znakomicie przełożonych niedawno przez ś. p. Dziewickiego.

Silny prąd wiatru sprawiany w wialniach działa na strumień zboża uchodzącego cienką warstwą z kosza, oddziela plewy, zgoniny, oraz ziarna najlżejsze. Zadaniem młynka jest dalsze oczyszczenie ziarna, a głównie

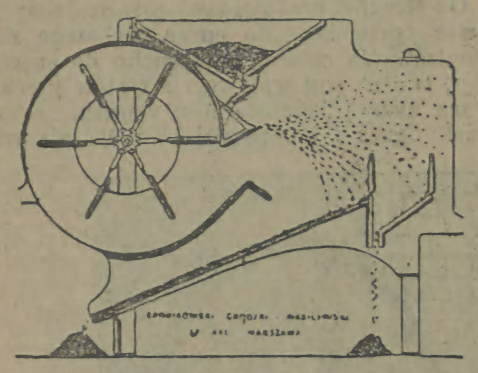

Młynek bez sit do czyszczenia zboża z nasion, chwastów i plew.

rozgatunkowanie go według ciężaru na *celne, średnie i pośrednie* ziarno. — Im dłuższą jest skrzynia, tworząca młynek, tem więcej gatunków ziarna za jednem przepuszczeniem przez młynek, zebrać oddzielnie można.

Ziarno przewiane i przemłynkowane, zawierać jeszcze może w sobie zanieszyszczenie, nie dające się oddzielić na wialni i młynku, a mianowicie pozostać w niem mogą ziarna chwastów, równego z ziarnem zboża ciężaru gatunkowego, lecz mniejszej objętości.

Przepuszczenie w tym razie zboża przez *tryjer,* pozwala nam je oczyścić. — Są to *cylindry* z blachy, w których są zagłębienia, mogące w sobie zupełnie pomieścić ziarna *wyczek, grochalu;* ziarna te tam wpadają i wyrzucone zostają na zewnątrz tryjerów.

Ponieważ jest to przyrząd nieco drogi, przeto pożądanem byłoby, ażeby *kółka rolnicze* nabywały go *wspólnym kosztem* i *wypożyczały swoim członkom* za umiarkowaną opłatą.

Dypl. roln. Marjan Siemiątkowski.

Uwaga — złodziej!

Wszędzie złodziej i oszust. — Szkoły złodziejskie.

Kraków, 17 sierpnia.

Niema miejsca, gdzieby nie operowali *złodzieje.* Są na ulicy, w muzeum, restauracji, teatrze, kościele. Ze szczególnem zamiłowaniem grasują na *dworcach kolejowych.* Pomimo ostrzeżeń, wywieszonych tu i tam, codziennie w wielkich miastach pada ofiarą złodziei tysiące osób. W naszej *Warszawie* mamy złodziejów specjalnych, jak np. *„na wuja“* (ktoś na ulicy rzuca się tobie nagle na szyję z krzykiem „wuju kochany!“ i wyciąga przytem portfel), *„na konsula“* (emigranci do Ameryki, podkradani przez fałszywych „konsulów“), *„na carskie brylanty“, „na kopertę“* i t. d. Arsenał złodziejskich sposobów jest istotnie niewyczerpany, a pomysłowość nieraz zdumiewająca.

Sfery złodziejskie mają swój podział, swoją *„arystokrację“* i swoje *„niziny“. „Kasiarz“* nie będzie się paprał robotą *„doliniarza“,* tj. *kieszonkowca.* Kieszonkowiec (doliniarz) snuje się po ulicach, kawiarniach, korzystając ze *ścisku* (jak n. p. w dni targów, w które zjeżdża stale do miast i miasteczek szereg złodziei na gościnne występy), obłuskuje nieostrożnych z pieniędzy. Niejednokrotnie robi się to pod pozorem *„wuja“,* czy też pomyłki *„znanej twarzy“* (skąd ja pana znam? Jak tam w domu? Aha — przepraszam — to pomyłka, ale portfelu już niema!), albo też pod pozorem prośby o *„ogień“.* Niekiedy złodzieje uciekają się do sposobu bardziej radykalnego: *wycinania kieszeni* palt albo marynarek, przy pomocy brzytwy lub też nożyka do golenia. Czasem dzieje się to *pod osłoną gazety* na przystanku tramwaju — niekiedy w czasie *pomagania komuś* przy powstaniu z ziemi, na którą przedtem przewraca się ofiarę przez podłożenie laski, czy przy pomaganiu wsiadania do *dorożki, auta* etc.

Każdy złodziej doskonali swój arsenał sposobów i chwytów i *ćwiczy się* w nich, tak jak magik w swoich sztuczkach. Istnieją *szkoły złodziejskie,* gdzie uczy się chłopców małych, wyruszających na „łup“ na miasto, zasadniczych sposobów *wyciągania pieniędzy z kieszeni.*

Na zdjęciach naszych mamy cały szereg „klasycznych“ wprost tricków złodziejskich, stosowanych przez wytrawnych złodziei wielkich miast.

Wyrafinowany sposób okradania przez złodzieja kieszonkowego, gdy odwrócony plecami do swej ofiary, niczego nieprzeczuwającej, wyciąga pieniądze papierowe z kieszeni w kamizelce, równocześnie zaś częstuje papierosami inną osobę.

Czy mogę pana prosić o ogień — oto również zręczny podstęp złodzieja kieszonkowego, by równocześnie okraść z papierośnicy swego przygodnego ofiarodawcę ognia.

„Jak się panu powodzi? Czy w domu wszyscy zdrowi?“.
Oto znany i ulubiony sposób złodziei kieszonkowych odwrócenia uwagi swego rozmówcy, celem okradzenia go. W czasie rozmowy prawa ręka zasłania ruchy lewej, sięgającej do kieszeni po portfel.

Złodziej pomagający powstać przewróconemu przez zręczne, a niewidoczne podstawienie mu laski, przyczem nieszczęsnego okrada z zegarka.

Rzekomo zaczytany złodziej kieszonkowy wyciąga zegarek z kieszeni współpasażera w tramwaju, autobusie i t. p., by następnie podać skradziony przedmiot swemu wspólnikowi, obok stojącemu z nadstawioną po łup ręką.

STEFAN NOWIŃSKI.

Mafja rzeczy martwych.

Przypuszczam, że każdy z Sz. Czytelników miał okazję przekonać się — jak trudno jest żyć *nieprzyzwyczajonemu.*

Tyle mamy ciągle kłopotów z własną osobą i innemi ludźmi, iż nie zwracamy uwagi na wrogów innych, pozornie dalszych, a jednak jakże blizkich i wciąż będących w ostrem pogotowiu. Zaczyna się od siebie i rozgryzaniu twardego orzecha własnej indywidualności, której znajomość Grecy jako hasło *„poznaj siebie samego“* stawiali na szczycie wiedzy i filozofji.

Np. zanim dowiemy się o celowości i sprawności wszystkich części ciała czy umysłu — połowa z nich jełczeje i zanika, tworząc przykrą dysproporcję t. zw. *fałszywego apetytu,* który ludowa świadomość Śląska ujmuje w rezygnacyjną zasadę, że już:

„Jest we wco, ale nie ma ze wczem“...

Załatwiwszy się wreszcie jako tako ze sobą, gdy wiemy już poniekąd — co, gdzie, kiedy i jak — i gdy powiedziano nam już, jak pewnemu starszemu panu:

„Panie, pan ma wcale niezły rozum — dlaczego pan robi z niego tak rzadko użytek?“

Oglądamy się spokojnie wokoło, spotrzegając *w jak wrogiem* żyjemy otoczeniu.

Te niby martwe *stoły, komody, szafy, kanapy, obrazy, meble, ściany, schody, zamki i klamki* — to nasze *wrogi, zaczajone i złośliwe* — a co najgorsze będące *w zmowie, sitwie,* niczem bandyci — na nasz spokój, nerwy, żółć, wątrobę i równowagę ducha.

O ich zmowie i złośliwości, wobec nienawistnego im pana, człowieka, pisano już obszernie, jeden z niemieckich autorów poświęcił temu doniosłemu problemowi nawet całe dzieło. Nie odkryję tu więc rzeczy nowych, ale właśnie w erze *wakacyj,* gdy mamy więcej niż kiedyindziej czasu wolnego, chciałem zwrócić uwagę Sz. Czytelnikom na tę doniosłą kwestję, abyśmy może doprowadzili do jakiegoś paktu. Może jakiś kompromis, obopólne koncesje, tak np. targiem sejmowym lub według klucza partyjnego?

Musimy doprowadzić do jakiegoś *zawieszenia broni* — żyjemy w epoce wykrzykiwania przez wszystkie głośniki życiowe — pacyfizmu, a tu pod nosem (naszym) mamy nieprzejednanych wrogów, skłonnych do ofenzywy każdego dnia i godziny na każdem miejscu i w każdej okoliczności.

Pozwolę sobie Sz. Czytelników nudzić nieco znanemi ogólnie przykładami, nie naświetlanemi jednak dotychczas właściwie i dlatego mnożącymi się bez końca.

A więc: — wiemy, że chleb posmarowany masłem, a trzymany w nieostrożnej ręce upada na podłogę zawsze *masłem do kurzu!...*

Dlaczego? — Bo tak się zmówiły: masło z chlebem, żeby Ci uniemożliwić zjedzenie tej smacznej kromki, za karę, za nieuwagę.

Albo: gdy spieszysz się gdzieś — chowają się przed tobą *spinki,* wpięte następnie *uciekają z dziurek,* kołnierzyk sztywnością pomaga im w biernym oporze. Później kryje się gdzieś szukany *krawat,* masz już krawat, schowały się *rękawiczki,* masz już wszystko — *kapelusz* zeskakuje ze stołu w zmowie ze *szczotką,* która ukryła się np. pod gazetą i śmieje się całą swą wytartą szczeciną z twych bezowocnych poszukiwań.

A parasol? — Dlaczego ta bestja nie psuje się nigdy w czasie pogody. Stoi jak trusia w kącie całe nieraz miesiące — dopiero gdy *w ulewę* zwrócisz się do niego z zaufaniem o pomoc — *pęka* podlec tuż nad Twym karkiem, aby Ci nalać wody za kołnierz, albo przy byle wiaterku robi *tulipana,* jakby był *Halamą* i ośmiesza cię na ulicy, choćbyś miał w zmoczonej głowie nie wiedzieć jak poważne myśli.

A pióro? — Może, jak się gdzie zdarzy, tygodniami leżeć niby w stanie gotowości do oddania ci usługi, ale właśnie gdy chcesz coś napisać, np. sonet, rachunek do pralni, lub poprostu podpisać weksel — *łamie się,* robi *żyda,* pomimo że chcesz pożyczyć w katolickim banku, *i w zmowie z kałamarzem* — wyciąga z niego *muchę, stonogę,* mola albo wogóle nie pisze — bo atrament, członek mafji też — *wysycha.*

Brzytwa — najchętniej wjeżdża w brodę, mimo wieloletniej z nią twej przyjaźni, *szklanka* potrafi, jak się jej uda, *poparzyć* ci palce *w zmowie z herbatą,* tak że Ci się pić odechce — a nawet taka, niby niewinna, *sprężyna w materacu,* wylezie zawsze w bolesnem dla Ciebie miejscu, wsadzi Ci sztycha pod żebro lub w podudzie, choćbyś niewiedzieć ile lat z nią sypiał. — Słowem *wróg!*

Wspomniany pisarz niemiecki, który tym, bynajmniej nie błahym, sprawkom rzeczy martwych, przynajmniej pozornie martwym, całą książkę poświęcił, podsłuchał raz spisek *kałuży i kamienia* — przeciw *lakierkowi* eleganta, który się tam właśnie zbliżał. Umowa stanęła:

— On stąpnie na ciebe, ty się usuń, a reszta do mnie należy.

Stało się. Lekkomyślny elegant, ujrzawszy kałużę chciał ją przekroczyć z pomocą kamienia, postawił na nim nogę w lakierku. Kamień zwinnie się usunął, a kałuża podskoczyła elegantowi aż na gors u fraka i pod kołnierz. Nie mógł iść na bal, zerwała z nim ubóstwiana — a wszystko przez mąfję kałuży z kamieniem, które nie lubią nas jak wogóle wszystkie przedmioty, uważane przez nas, niezupełnie słusznie, *za martwe i przyjazne.*

A czy nie zauważyliśmy jeszcze w dzieciństwie, że np. przy upadku zawsze gdzieś nie-

Nieznane źródło Sienkiewiczowskiej „Trylogji"

Wielcy poeci, powieściopisarze, a nawet i inni artyści (muzycy!) potrafią *okryć tajemnicą wszelkie źródła,* z jakich czerpią... Poniekąd jest to dla późniejszych krytyków, czy „wyławiaczy pereł" w tem morzu słów, pewnego rodzaju rewelacją, czy odkryciem „siódmego cudu świata". Ileż to głów szuka np. źródeł *„Boskiej Komedji"*, albo ileż kłopotów ma krytyka literacka z *Szekspirem*... Już daleko „strawniejszym" dla tego żeru krytyki *„Faust"* Goethego, aniżeli np. taki: *„Hamlet"*, do którego co roku dobiera się, jak do drzewa zakazanego setki krytyków! *bezowocnie.*

U nas powieścią, bezsprzecznie najpopularniejszą — jeszcze i dzisiaj, a i na długi czas, pozostanie Sienkiewicza: *„Trylogja"*. Statystyki bibljotek polskich publicznych, uczniowskich, wykazują, że *najpoczytniejszym autorem w Polsce, jest Sienkiewicz.*

Styl, fabuła i rozmach od pierwszej, po ostatnią stronicę, czynią ze Sienkiewicza książki, tę na długo w Polsce, jedyną, którą nie prędko wytrąci z rąk czytelnika nowa, bo ostatecznie i piór genjalnych, na razie, coraz to mniej w świecie.

Umiejętność odtworzenia epoki zawdzięcza Sienkiewicz ogromnemu oczytaniu, oraz szukaniu *w morzu pamiętników z XVII w. koncepcji, ludzi i stylu epoki!* I to szukanie okrył talent bajeczną siłą indywidualizmu, że trudno wykazać, skąd Sienkiewicz brał tę obfitość... Jedynie *traf* może nas naprowadzić na podobny ślad, dobrze zatarty przez autora.

Zapomniany dzisiaj *August Bielowski* (1806—1876), w początkach poeta, później historjograf, wydał 1849 roku *„pamiętniki Mikołaja Jemiołowskiego"*, obejmujące w formie kroniki, *lata: 1648 aż po 1679*, akurat *czasy „Trylogji"*.

Pamiętniki, pisane ciężką ręką, ale obfitujące w szereg szczegółów i postaci, jakie mogły dać Sienkiewiczowi niewątpliwie sporo materjału! Odtwarzanie epoki, nie w stylu Paska, który pozostanie jedynym w tym rodzaju stylistą, w każdym razie u Jemiołowskiego szczere, podyktowane akurat sumieniem epoki, mogło niejedną sytuację Sienkiewiczowi nasunąć, uwypuklić, albo i poddać jej sylwetkę, żeby później na palecie mistrza plastyki, dała w pełni życia i tła — postać epoki, odtworzoną w duchu czasu.

Jemiołowski np. wcale silnie mówi o *Bohunie* (nazywa go *„Bochonem"*, co mylnie napisano, dając w odpisie ó — *Bohónem!*) pułkowniku bracławskim, kuśnierzu z zawodu. Sześć razy mówi o Bohunie Jemiołowski, dając sporo szczegółów, a jakie poprostu łączą się w następstwie odtworzenia tej postaci *w „Ogniem i mieczem"*.

Chmielnicki w relacji pamiętnika Jemiołowskiego nie jest znów tak „wyolbrzymiałą" postacią; nie docenił go widocznie autor, uważając go za rebeljanta, który dopiero później stał się bohaterem i w aureoli legendy zdołał olśnić historyków, aby uczynili z atamana, bohatera krwawej epopei...

Cały szereg innych postaci, dalej *opisów walk*, dały cenne zestawienie tej książki z *„Trylogją"* (I), notując *wpływ Jemiołowskiego na Sienkiewicza* ze strony faktycznej. *Język* mógł niejednokrotnie też oddziaływać, bo jest w nim pewna siła bezpośredniości, wartości słowa, które poprostu mówi o tem, na co autor własnemi oczyma patrzył i co przeżywał „na własnej nieraz skórze".

Szlachcic, herbu Poraj, *Mikołaj Jemiołowski* (zmarł około 1693 r.) był właścicielem Swaryczowa w woj. bełzkiem, potem dzierżawcą koło Sokala, oraz *towarzyszem chorągwi.* Jako i poborca, a nienazbyt zdaje się sumienny, miał sporo skarg, co jednak pozwoliło mu zostać wyższym urzędnikiem, bo rewizorem powiatu. Na elekcji króla Jana był Jemiołowski, bo dotąd mówi o nim historja. Należał wcale nie do obskurantów XVII w., ale nieco do ludzi oświeceńszych, znających i dzieje Europy, a miał sąd wcale zdrowy i ujmował zagadnienia ze strony krytycznej, w czem może góruje i nad Paskiem. Naturalnie *wierzy w czary, w cyfry,* wróżące przyszłość, czy w różne *znaki nadprzyrodzone.* Łacinę zna doskonale, choć wcale nią nie szafuje, co daje wartość stylu nawskróś polskiego, bez makaronizmów!

Wyrażenia, czasami pewna, *naiwna stylizacja,* niewątpliwie dały Sienkiewiczowi pewien skarb do przetworzenia starej monety, ale z dobrego kruszcu, w nową, jak to czynił na swój sposób nie pisarz, ale u Jemiołowskiego opisany Włoch, *Boratino,* jeden z pierwszych instruktorów polskiej mennicy, któremu zawdzięczaliśmy *szelągi* (z włoskiego: *scegliere = wybierać!)* znane w XVII w.: *szelągi Boratiniego...*

Michał Asanka-Japołł.

ANEGDOTY CIEKAWE.

EPIKUREJCZYK.

(Z. K.) Aktor *Quin* jadł pewnego razu obiad w restauracji; właśnie podano mu świeżo usmażone kotlety wieprzowe, kiedy nadszedł znajomy jego żyd i zapytał:

— Panie Quin, jak pan może znajdować przyjemność w jedzeniu wieprzowiny, przecież to najmniej zdrowe mięso?

— Jakto? Przepadam za wieprzowiną, a każde niebezpieczeństwo dodaje czynności naszej uroku — odpowiedział aktor. — Ale wie pan co? — wolałbym jeszcze do tego być żydem. Miałbym wtedy rozkosz jedzenia i grzeszenia równocześnie.

MIARA UCZCIWOŚCI.

(Z. K.) Duclos powiedział kiedyś w salonie:

— Nikt tak nie udaje świętoszkostwa w rozmowie, jak właśnie kobiety, mające najwięcej nieuczciwości w swej duszy! Im mniej kto posiada cnoty, tem bardziej nie pozwala na najmniejszą swobodę w słowie.

Po takim wstępie Duclos opowiada jakąś nieprzyzwoitą dykteryjkę, potem drugą, jeszcze pikantniejszą. Wreszcie, gdy zaczyna trzecią, pani de Roquoefort zatrzymuje go, mówiąc:

— Ostrożnie, Duclos, pan nas ma już za bardzo uczciwe.

UPRZEJME USPRAWIEDLIWIENIE.

(A. T.) Znany aktor *Max Adalbert,* udawszy się pewnego dnia w kąpielisku Wannsee na przechadzkę ze swym ulubionym jamnikiem, spotkał po drodze jedną ze swych koleżanek, odznaczających się niebywałą wprost smukłością. Uradowana spotkaniem dama, już zdaleka skinęła na Adalberta ręką, przyzywając go do siebie.

Podrażniony tym gestem „Murxl", rzucił się na artystkę i właśnie miał ją ugryźć, gdy Adalbert na prośbę zaatakowanej odwołał psa.

Następnie usprawiedliwiał się przed koleżanką mówiąc, że pokusa dla jamnika była zbyt wielka, gdyż on jeszcze nigdy nie widział tylu kości naraz.

WRAŻLIWY NA DOBÓR SŁÓW.

(A. T.) Wiedeński dyrektor teatru *Zygfryd Geyer* spotyka na ulicy bardzo wpływowego krytyka.

Gniewam się na pana! Czy musiał pan koniecznie napisać: teatr był w połowie pusty?

— Ależ panie dyrektorze musiałem przecież napisać prawdę?

A na to Geyer:

— A czy nie mógł pan napisać: Teatr był do połowy zapełniony?

DOBRA OCENA.

(Z. K.) W księgarni gruby, czerwony jegomość, obwieszony obrączkami i łańcuszkami, przegląda „Życie pszczół" Maeterlincka. Mija pięć minut, dziesięć... Jegomość wskazuje sobie paragrafy palcem. Zwraca się wreszcie do sprzedawcy:

— Czy panowie nie macie coś w tym rodzaju, tylko o krowach?

TAK BYWA.

(A. T.) W zeszłym wieku zgłosił się do znakomitego lekarza chorób nerwowych chory o wyglądzie hypochondryka i skarżył się, że nic go nie może rozerwać.

— Doprawdy — powiedział doktór — nie widzę innego środka jak tylko ten, aby pan poszedł zobaczyć tego sławnego klowna w cyrku, który wszystkich Londyńczyków zmusza do śmiechu:

— Niestety doktorze — odpowiedział chory — tym sławnym klownem jestem ja.

WOJNA.

(Z. K.) Podczas wielkiej wojny pytano francuskiego prałata *Duchesne* o politykę watykańską, na co tenże odpowiedział:

— Drogi panie, na całym świecie już tylko dwie potęgi zostały neutralne: Bóg i papież!... ale Bóg nie pisze!

Kurjer szachowy

pod redakcją M. G.

Nr. 32 (266).

J. A. Schiffman („British Chess Magazine" 1930).

Czarne: Kb8, Hh1, Wh2, Gb1, Sd8 f7, piony: a4, b5, c2, d5, e6, h5 (12).

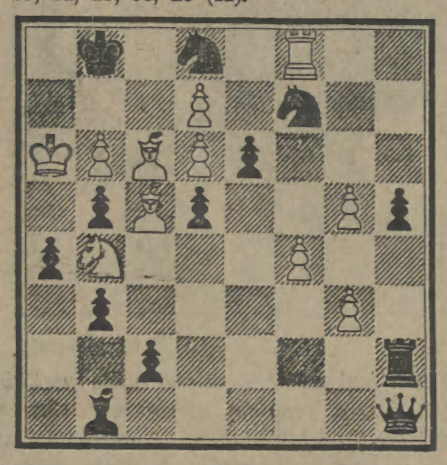

Białe: Ka6 Wf8, Gc5 c6, Sb4, piony: b6, d6, d7, f4, g3, g5 (11).

3-chodówka. 11+12=23.

Mat w 3 posunięciach.

W. I. Neustadt (I nagr. „Szachmaty" II półr. 1929 r.).

Cazrne: Kf8, Gg8, Sg1 (3).

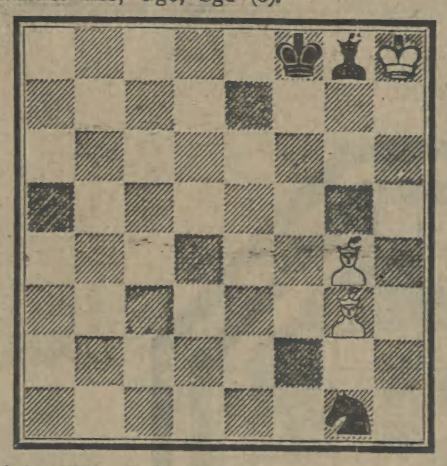

Białe: Kh8, Gg3 g4 (3).

Końcówka (+) 3+3=6.

Białe zaczynają i wygrywają.

PARTJA NR. 35 (260).

Białe: **F. D. Yates** (Anglja) Czarne: **Dr S. Tartakower** (Polska)

grana na olimpjadzie w Hamburgu w r. b.
Obrona sycylijska.

1.	e4	c5	
2.	S—f3	S—c6	
3.	d4	c×d4	
4.	S×d4	S-f6	
5.	S—c3	d6	
6.	G—e2	g6	
7.	0—0	G—g7	
8.	G—e3	0—0	
9.	S—b3	G—d7	
10.	f3	**(1)** a6	
11.	H—d2	b5	
12.	G—h6	W—c8	
13.	G×g7	K×g7	
14.	S—d1	H—b6+	
15.	K—h1	S—e5	
16.	G—d3	G—e6	
17.	S—c1	**(2)** d5!	
18.	S—e2	d×e4	
19.	f×e4	Wf—d8	
20.	S—g3	H—d4	
21.	H—f4	S×d3	
22.	c×d3	W—c5 **(3)**	
23.	S—c3	b4	
24.	Sg—e2	H—e5 **(4)**	
25.	S—a4	W—a5	
26.	H×e5	W×e5	
27.	S—f4	G—d7	
28.	S—b6	G—b5	
29.	W—f3	e6 **(5)**	
30.	Wa—f1?	**(6)** S×e4	
31.	d×e4	G×f1	
32.	W×f1	W×e4 **(7)**	
33.	S—h3	W—d2	
34.	S—g5	W—f4 **(8)**	
35.	W—a1	W×b2	
36.	S—f3	W—e4	
37.	S—a4	W—c2	
38.	h3	We—e2	
39.	W—b1	W×g2	
40.	W×b4	Wg—f2	
41.	W—b3	W×a2	
42.	**Białe poddały się.**		

UWAGI:

(1) Czarne objawiły zamiar operowania na skrzydle hetmana. Białe zachowują się zbyt passywnie. Teraz powinny były grać: 10. h3 poczem f4.

(2) Aby po: 17... S—c4 18. G×c4 G×c4 19. S—d3 w razie zaś 18... b×c4 19. H—c3 móc grać. Po 18... W×c4 następuje 19. S—e3 i potem ewent. S—d3.

(3) Lepsze, niż 22... H×d3 23. S—c3 poczem Wa—d1.

(4) Oczywiście nie 24... H×d3? z powodu 25. Wa—d1.

(5) Zapobiega S—d5.

(6) Białe powinny były teraz przez h4 starać się króla wprowadzić w grę do centrum.

(7) Teraz grozi 32... W×f4 W×f4 33. W—d1×.

(8) Znowu groził mat na d1.

PARTJA NR. 34 (259).

Białe: **A. Rubinstein** (Polska) Czarne **Lafora** (Hiszpanja)

grana na olimpjadzie w Hamburgu w b. r.
Gambit hetmana.

1.	d4	S—f6	
2.	c4	e6	
3.	S—c3	d5	
4.	S—f3	c6	
5.	e3	Sb—d7	
6.	S—e5	G—d	
7.	f4	0—0	
8.	G—d3	d×c4	
9.	S×c4	G—b4	
10.	a3	G×c3+	
11.	b×c3	c5	
12.	0—0	b5	
13.	S—d6	c4	
14.	G—c2	H—b6	
15.	S×c8	Wf×c8	
16.	H—f3	H—c6	
17.	e4	S—b6	
18.	g4	a5	
19.	g5	S—e8	
20.	Wa—b1	Wa—b8	
21.	f5	Sb—d7	
22.	f×e6	H×e6	
23.	d5	H—e7	
24.	G—f4	W—b6	
25.	d6	H—e6	
26.	e5	g6	
27.	G—e4	S—g7	
28.	G—d5	H—f5	
29.	G—g3	H×f3	
30.	W×f3	S—e6	
31.	W×f7!	K×f7	
32.	Wa—f1+	K—e8	
33.	G×e6	W—c5	
34.	G—f7+	**Czarne poddały się.**	

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NRU 31 (265):

3-chodówki E. Plesnivy'ego: 1. H—h1 (grozi 2. H×h4); **I. 1...** G×g3 2. H—b1 (teraz wieża nie może już bronić punktu b3) S—a1 3. G—h7×; **II. 1...** W—h2 2. G—d5+ K—h7 3. H—e4×.

Końcówki T. Gorgijewa: 1. K—c2 G×b1+ (A) 2. K—b2 W—a4 3. d7 W—b4 4. K—a1 K—e7 5. S—c3 G—e4 6. S—d5+ G×d5 7. d8 H K×d8 8. pat.

(9) 1... W×b1 2. S—c3 W—a1 3. K—b2 i remis.

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA SZACHOWEGO.

LEODJUM. Z końcem bieżącego miesiąca odbędzie się tu międzynarodowy turniej, który się zapowiada nader ciekawie. Uczestnicy: Ahues, Becker, Colle, Niemcowicz, Pleci, Przepiórka, Rubinstein, Sultanbejew, Dr. Tartakower, Thomas, Dr. Vidmar, Weenink.

HAMBURG. Następna Olimpjada szachowa odbędzie się w r. 1931 w Pradze, w r. 1932 w Barcelonie.

---

spodziewanie zjawił się jakiś *kant* jakiejś komody, stołu, szafy? Tak jest! One umyślnie podstawiają swe ostre łokcie:

— Rozbij sobie łepetynę, nos itp. — to ich uciecha i psikus, jaki chętnie ludziom wyczyniają..

Nowsze, *nowoczesne sprzęty* są jeszcze złośliwsze, jakby wraz z myślą człowieka wyssały od niego żółć i cholerę, np. *maszyna do pisania.* Musisz do niej przystępować wytresowany, wiedzieć gdzie wiąże sobie wstążki i gdzie lubi palcówki, zachowasz się niedelikatnie — stanie, zatnie się jak osioł na moście i szydząc z twej nieporadności śmieje się w duchu:

— *Co mi zrobisz dudku? Weź panienkę, która wie co i jak należy.*

Bierzesz panienkę, kwiat i natchnienie przy klawiaturze i dyktujesz: *„Zatarł swych czynów wszelki ślad"*... A one się porozumiały i piszą Ci:

„Tatar swych synów szelki zjadł"...

Wracasz więc do *pióra,* które się właśnie *łamie i ołówka,* który się też *łamie,* przestajesz pisać — i świat ma ulgę, bo zamiast cię czytać może zająć się czemś rozsądniejszem.

To byłby najłagodniejszy jednak wypadek, ale są groźne i bardziej niepokojące.

Zamknięta, nieprzejednana, skoncetrowana wrogość dzisiejszych maszyn wobec człowieka jest problemem wprost tragicznym. Robią sobie te maszyny same różne stosunki we wszechświecie i spiskują przeciw nam. Takie niewinne, przyjemne i rzekomo tylko naszą przyjemność mające na celu — *radjo,* ilu doprowadziło do szału, do białej gorączki, albo i *pioruny,* rzeczywiste pioruny z nieba ściągnęło.

Albo *motorek, turbinka lub auto;* spróbuj na chwilę przy nich, jak przy przyjacielu, mniej być uważnym — *urwią Ci rękę lub głowę, pokaleczą, zmasakrują,* że z marmolady jaka z ciebie wyniknie, trudno cię wogóle będzie rozpoznać.

Dawniej bywało, poczciwy gazda, wiozący gości z Krakowa do Zakopanego nocą zasypiał pod Obidową wraz z pasażerami i przez sen mrucząc:

— *Wiśta, hejta stare! Wiśta!* — budził się na gorzałkę w Nowym Targu, a ty jechałeś spokojnie po bożemu.

A teraz, niech się na sekundę zagapi *szofer przy kierownicy,* a kilku chirurgów, albo i sekcja ma dłuższy czas z Tobą zajęcie.

Z temi niby naszymi przyjaciółmi, maszynami, żartów nie ma, sami wychowujemy sobie w nich wrogów, którzy gorsi są od żmij, bo nie uratuje nas od nich krowianka — tylko ustawiczna *uwaga, baczność,* jak w pierwszej linji okopów na froncie. Albo...

Wracasz zmachany do domu, zmuszony po drodze też uważać, aby cię *„głupi tramwaj"* nie przejechał, który jak mu się uda, umie z lekkoatlety zrobić w minucie — kalekę.

W domu też niezupełniej możesz odsapnąć, jeżeli cię bowiem *zamki* bez zacięcia się wpuszczą — to *słomianka,* przekornie pętająca się pod nogami, usiłuje zaraz w przedpokoju wywalić cię na twarz, minąłeś ją zwycięsko, *drzwi* na złość wpuściły z kuchni na całe mieszkanie *zapach przypalonego mleka,* które na wiadomość, że to ty dzwonisz *„wzięło i wyskoczyło"* z garnka na blachę. Siadasz w jadalni a jedna *z nóg od stołka* próbuje uciec; póki stało pod ścianą było spokojne, na środku pokoju zachciewa się mu figlów.

Zabierasz się do zupy — *dzwoni telefon* — bo go zapomniałeś wyłączyć, idziesz zmęczony, aby poinformować jakąś drugą ofiarę złośliwości aparatu, że nr. 121-74 nie ma nic wspólnego z *Ostatnią Posługą.*

Wreszcie obiad minął spokojnie, tylko *pieprzniczka* zacięła się, aby ci skaleczyć dwa palce *i łyżeczka* przy kawie usiłowała ci sparzyć dwa inne, ale dobrnąłeś do końca, idziesz do swego pokoju i chcesz się wreszcie spokojnie pomartwić — co zrobić z tą stabilizacją stagnacji.

A tu patrzy na Ciebie ze ściany *głupawy młokos,* wyraźnie gwiżdżąc z Twoich tarapatów. Patrzysz ze złością na niego:

— *Czy ja naprawdę tak głupio wyglądałem po maturze?* — mówisz do tej swojej irytującej *fotografji. — He, bo czasy były inne...*

Nie, bratku! *Ty byłeś inny,* chodziłeś między temi rzeczami w narkozie młodości i nierozumiałeś co to *„dola, los, wieczna nędza człowieka".*

Najbardziej bowiem irytujące są właśnie *fotografje, portrety, biusty* itp. w momentach innych, niż gdy powstawały. Tu odprawiają sobie nad Tobą orgję sadyzmu, rzeczy martwe — jak *płótno, farba, drzewo czy kamień,* nad Twoją późniejszą osobą, która, stanąwszy przed nimi w smutku czy zakłopotaniu, widzi całą bezsilność człowieka rzuconego na świat jak kalosz do przerębli, obijający się o mroźne ściany rzeczy czy zdarzeń i dużo się musi namęczyć, aby wreszcie *iść na dno.*

Dlatego może też ludzkość oszczędza żyjącym stawiania pomników, aby wyłysiały starzec nie miał chwili bebechowego wstrząsu, gdy stanie pod spiżowym gladjatorem, mającym go przedstawiać, albo by nie musiał się irytować, że w mającej go przeżyć legendzie żyć będzie jako kanciasty heros, nie dopuszczający do siebie ludzkich uczuć czy rozsądku.

Po mojej śmierci, możecie mi pomnik postawić, ale za życia nie! Ja mam dość walki z różnemi opornemi sprzętami, abym się musiał jeszcze zmagać ze stylizowaną poczwarką mej indywidualności.

Nie chcę! Stanowczo!

A pakt z rzeczami martwymi?

Trudno go konkretnie wskazać, chyba w jedynej zasadzie: dobrze się odżywiać, nosić wygodne obuwie, uważać na zakrętach i — nie martwić się wogóle.

Odpowiedzi Redakcji.

„CZEREMCHA". Ładne — ale jeszcze nie to, co-by m o g ł o być!

WP. S. KARDEJ. Gładkie, ale brak ekonomji słowa i siły wyrazu.

„LEO". Nadmiar słów — mało treści i ekspresji.

„JO-MA-RO". Unikać poetyzowania, staryeh rekwizytów słów i porównań; dążyć do własnej, mocnej prostoty .

„IRA". Oddaliśmy do „Kurjera Kobiecego" — „Z PRAWDZIWEGO PRZEŻYCIA"' Nowela o Sońce bez treści i pogłębienia.

„M. B. S." Recenzja o tej książce była u nas drukowana.

„JACEK ORLIK". Nie zamieścimy.

„ELES", LWÓW. Słabe.

„FAUST". W wierszach jest zacięcie. Ale jeszcze niedojrzałe. Rozmiar noweli od 150—250 w.

„EWILINA J.", „WALDEN" — Blade.

„CZ. CZ." — Wiersz słaby.

„ELEK". — Miłe, ale bez polotu.

„O. L. RABKA" (Longus) „WIRY — RADZIE CHÓW", „POLESZUCZKA" WDAWIDGRÓDKU. — Nie skorzystamy.

WP. TADEUSZ SOKOŁOWSKI W TARNOPOLU. „Twoje lato" oddane „Kurjerowi Kobiecemu".

WP. EUGENJUSZ WOŹNIAK WE LWOWIE, — „SŁOWIK Z DĄBROWY", „IGNOTUS" — (Przyszłość wielkich miast). Nie wydrukujemy.

„A. A. A.": Zbyt błahe a przytem frywolne.

„WINC. RUG.": „Rozstanie" i „Oczekiwanie" nieco sztuczne.

AUTOROWI „KAWIARNI": Tym razem — nie.

WP. P. JAN HESSEN W KRAKOWIE, STEFAN ZYCH (Przyjazd żony), „WALDEN" (Bolszewicy pod Warszawą), „J. P. R." (Dziesięciolecie), K. K. BUKŁAD W KRAKOWIE, WINCENTY KUGLIN W KRAKOWIE (Bohater), „GŁODNY" (Lwy), T. W. KRAKÓW (Nad wodą), JERZY SOROKOWSKI („Na pożegnanie", „Rękawiczki"): nie zamieścimy.

„MARJAN SAND": „Szydercza twarz" nie ma nastroju niesamowitości. Nieporadne.

„ERWIN DRWIN": Nowele przeszarżowane, teatralne w słowach i gestch. Poprzednie utwory w „Szer .Św.", gdzie zostaną ocenione.

„FEZ": Nie skorzystamy tym razem.

AUTORCE „WIECZORU": I „Wieczór" i „Wywczasy" nie są tak dobre jak poprzednie Nie umieścimy.

WP. TADEUSZ SOKOŁOWSKI W TARNOPOLU: „Śmierć w sadzie" zatrzymaliśmy.

Kącik rozrywkowy

SZARADA.

Ul. H. G. K. H.).

I.

Kurjerku, mój zacny, kochany,
Podniosły już dawno Twe łamy
To „*całe*" — palące pytanie.
Ach! „*raz — dwa*" się wreszcie to stanie?
„*Trzy-czwarte-pięć-szóste*" wciąż drogie,
A stąd narzekania tak mnogie.
Wciąż mówią, że one staniejq,
„*Siedm — dziesięć*" nas tylko nadzieją,
Gdzie indziej „*ośm — dziewięć*" są one,
Jakkolwiek tam też sprawdzone.
(„*Trzy*" znaczek iść muszę do miasta
więc kończę) — pozdrawiam
niewiasta.

Kącik dla Pań.

Aksamitny kapelusz zwiastunem wielkiej mody jutra.

Kraków, 17 sierpnia.

Aksamit jest materjałem cudownie miękkim i podatnym, a przytem niesłychanie korzystnym jako tło i obramienie delikatnych twarzyczek o pastelowych tonach. Może dlatego zapowiada się tej jesieni jako nadający ton modzie, która ma być cała „aksamitna".

Narazie faworytem dnia stał się aksamitny kapelusz i tow całej skali odmian: od obcisłej, krąglej czapeczki, ściśle obejmującej kształt główki, a odsłaniającej jasne i pogodne czoło — aż do efektownego kapelusza o szerokich skrzydłach, jak na obrazach Rembrandta lub ekscentrycznego modelu w guście czapki chińskiego mandaryna, z agatowym guzikiem na szczycie.

Obok aksamitu, zawsze modny lekki filc, czy to jako zgrabna czapeczka, zdobna delikatną egretą z piórek, bądź jako elegancki, a pełen prostoty „tricorn" biały lub czarny, zawsze szykowny i wielce „do twarzy".

Wesoły kącik.

FILOZOFJA WŁAMYWACZA.

(Ł) Uciekinier z więzienia, przy powtórnem schwytaniu go, monologuje:

— I można tu ludziom dogodzić?! Pierwej skazali mnie za włamanie na trzy lata, a teraz wsadzają znowu do dziury za wyłamanie się.

TO NAPEWNO.

(Ł) — Panie konduktorze! W żadnym wagonie niema miejsca. Nawet kurytarze są przepełnione tak, że docisnąć się do wejścia nie można. Przy takim natłoku powinno być więcej wagonów!

— Wagonów byłoby dosyć, gdyby tylko pasażerów nie było za dużo.

KARA.

(Ł). Kelner: — Co tylko chciał mi jeden gość uciec, nie zapłaciwszy rachunku, alem go jeszcze na czas przyłapał.

— No i co? Zapłacił?

— Gdzietam? Nie miał ani grosza przy sobie.

— Coś więc pan z nim zrobił?

— Wyrzuciłem go na pysk!

OTWARCIE.

(Ł) Marysia wypowiada służbę swej pani, bo wychodzi zamąż.

Pani: — Bardzo mi żal, że odchodzisz, ale skoro ci z tem będzie lepiej...

Marysia: — Lepiej, to nie, proszę wielmożnej pani, ale za to częściej...!

MA CZAS.

(Ł) Artysta-malarz pyta handlarza obrazów, którego do siebie zawezwał:

— No, a za ten obraz ile pan daje?

Handlarz: — Dwadzieścia pięć złotych.

Malarz (z oburzeniem): — Pan chyba sobie żartujesz! Chwała Bogu, nie umieram jeszcze z głodu, ażebym musiał za byle co puszczać swoje prace!

Handlarz (spokojnie): — Nic nie szkodzi, mam czas, mogę poczekać.

MIĘDZY WSPÓŁLOKATORAMI.

— Przez ten twój, przeklęty rower to ani się tu ruszać nie można!

— Bądź zadowolony, że nie posiadam auta...

Szarada krzyżykowa Nr. 33.

(Ul. L. Rozum z Lublina).

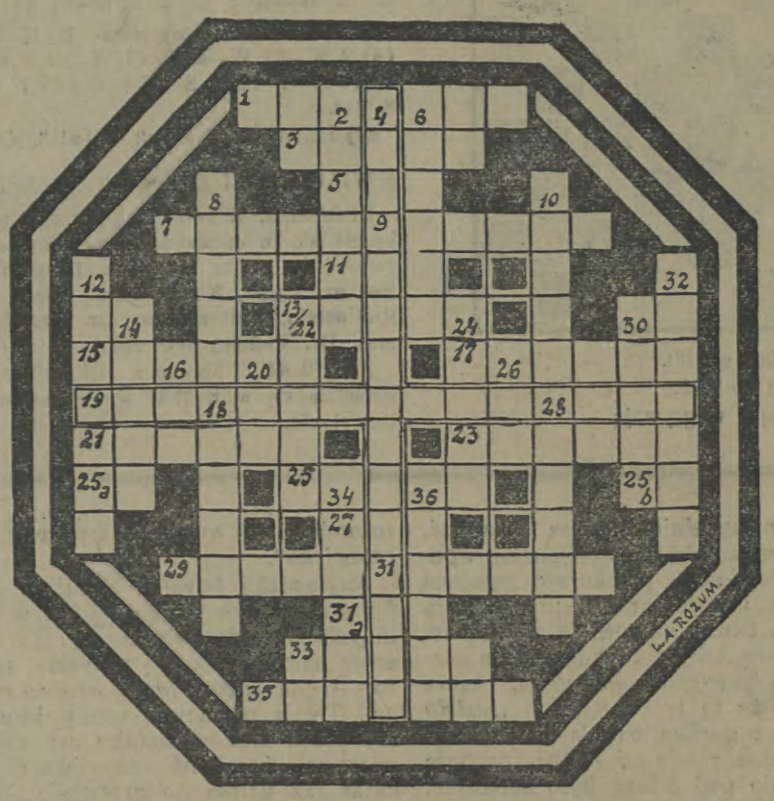

OBJAŚNIENIA:

A. Kratki środkowe oznacz. cyfrą 4 (pionowe) i cyfrą 19 (poziome) po wypełnieniu dadzą imię i nazwisko popularnej i wielce zasłużonej dla kraju osobistości.

B. Cyfry nieparzyste rozpoczynają wyrazy poziome a cyfry parzyste wyrazy pionowe.

C. Znaczenie wyrazów.

Poziome:

1) odzież chłopska; 3) ubikacja w szkole; 5) nazwisko bohaterki francuskiej z XV w.; 7) władza umysłowa; 9) tkanina; 11) siepacz; 13) owoc podzwrotnikowy; 15) metal szlachetny; 17) starożytna nazwa Wielkiej Brytanji; 19) imię i nazwisko szukanej osobistości; 21) niedopałki; 23) cząstka ciała; 25) przybory do gry; 25a) przyimek; 25 b) litera fonet., wspak; 27) wąż; 29) złudna zmora; 31) dziecię syna; 31 a) trzy spółgłoski; 33) dawny pieniądz; 35) jeden z miesięcy w języku martwym.

Pionowe:

2) część drzwi; 4) imię i nazwisko szukanej osobistości; 6) pokutnik; 8) urok; 10) imię męskie; 12) literat tragiczną śmiercią zmarły; 14) stolica jednego z państw europejskich; 16) okres czasu; 18) szyderstwo (i=j); 20) jedna z konstelacji zodjakowych; 22) kwit na należność zdrobniale; 24) przybory sportowe; 26) pukiel włosów; 28) rodowe nazwisko króla polskiego, a następnie francuskiego; 30) gatunek kawy arabskiej; 32) wódki z soku winogronowego; 34) nakrycie lampy do przyciemnienia światła; 36) postać z mitologji greckiej, znosząca wielkie cierpienia w Hadesie.

ROZWIĄZANIE SZARADY Z NRU 33.

Popierajcie perkaliki.

ROZWIĄZANIE REBUSU Z NRU 33.

Obniżenie stopy procentowej wpłynie dodatnio na położenie gospodarcze Polski.

Rozwiązanie szarady Nr. 32.

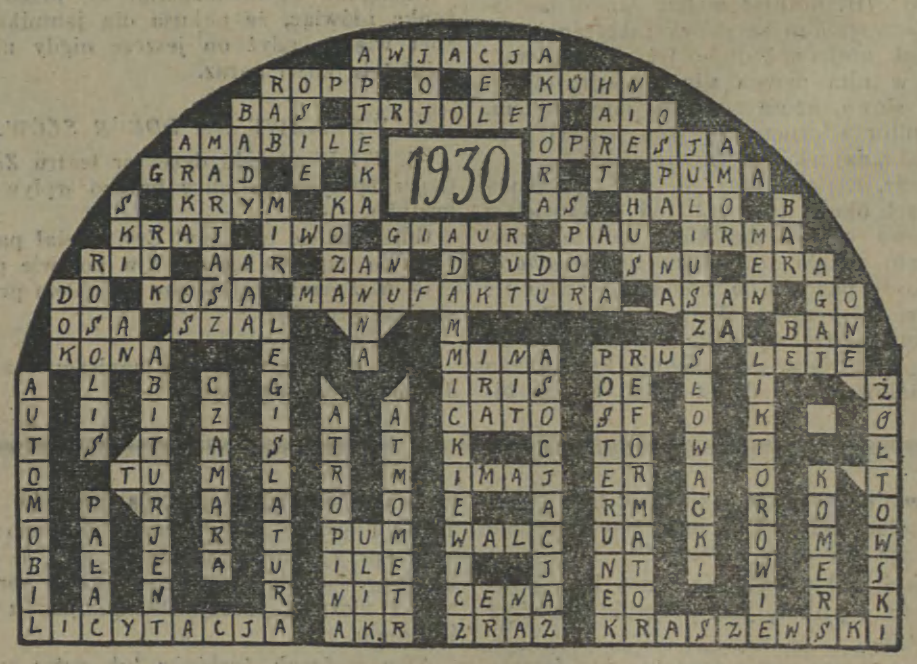

REBUS.

(Ul. D. F. z Kielc).